

DZIS I JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI

Warszawa, 19 lutego 1950 r.

Nr 7 (221)

TREŚĆ NUMERU: Wacław Sadkowski — Wspomnienie o dr Marcinkowskim; B. M. Długoszewski — Sprawa Bałdygów Wojciech Kętrzyński — Bój o „Katolicyzm społeczny”; André Mandouze — Chrześcijanin społecznie postępowy, tłum. Wanda Urstein; Alfred Gawroński — Znaczenie egzystencjalizmu; Z teki recenzenta: Zygmunt Lichniak — Niedokończone porachunki z wojną; Tydzień kulturalny: Leszcz — Audycje dr Żabińskiego; Stanisław Podlewski — Ruch wydawniczy w r. 1950; Jotka — „Mazepa” po 15-tu latach w Warszawie; Leszcz — Pustelnia Parmeńska; Czytelnik uważa, że...

George Bernanos

tłum. Wacław Rogowicz

SPOWIEDŹ PANNY CHANTAL *)

Z powodu pogrzebu pani Ferrand musiałem odprawić dzisiaj mszę o szóstej. Ministrant nie przyszedł. Myślałem, że jestem w kościele sam. O tej godzinie, w tej porze roku wzrok sięga za ledwie trochę poza stopnie prezbiterium, a reszta tonie w cieniu. Raptem usłyszałem wyraźnie szelest koronki, która się zsunęła z dębowej ławki na posadzkę. Potem już nic. Przy błogosławieństwie nie śmiałem podnieść oczu.

Czekała na mnie przy drzwiach zakrystii. Wiedziałem o tym. Jej szczupła twarz była jeszcze bardziej zmęczona niż onegdaj i był tam ten grymas ust, taki pogardliwy, taki twardy. Powiedziałem jej: „Pani wie dobrze, że nie mogę jej tu przyjąć, proszę sobie iść!” Jej wzrok przeraził mnie, a przecież nie uważałem siebie za tchórze. Boże drogi! cóż za nienawiść w jej głosie! A to spojrzenie było wciąż dumne, bez wstydu. Więc można nienawidzić bez wstydu?

— Proszę pani, powiedziałem, to, co obiecałem zrobić, zrobię. — „Dzisiaj?” — „Tak, dzisiaj.” — „Bo jutro, proszę księdza, byłoby za późno. Ona wie, że ja byłam na plebanii, ona wie wszystko. Jest przebiegła jak zwierzę! Dawniej się jej nie wystrzegalam: można się przyzwyczaić do jej oczu, uważa się je za dobre. Teraz chciałabym wydrapać jej te oczy, tak! Rozdeptałabym je obcasem, o, tak!”

— W ten sposób mówić o dwa kroki od Najświętszego Sakramentu, czy pani się nie boi Boga!

— Zabiję ją, rzekła. Zabiję ją albo siebie. Ksiądz będzie się z tego tłumaczył przed swoim Panem Bogiem!

Wygadywała te okropności nie podnosząc głosu. Przeciwnie, chwylała zaledwie ją mogłem dosłyszeć. I również niewyraźnie ją widziałem, w każdym razie nie mogłem dobrze rozróżnić jej rysów. Oparta jedną ręką o mur, drugą odgarnawszy futro stała pochyłona ku mnie i jej cień wydłużając się na posadzce miał kształt łuku. Boże drogi, ludzie, co myślą, że spowiedź zbliża nas w niebezpieczny sposób do kobiet, grubo się mylą! Kłamczynie lub maniaczki wzbudzają w nas raczej litość, u pokorzenie innych, tych szczerych jest zaraźliwe. Dopiero w owej chwili pojąłem tajne panowanie tej płci nad dziejami, jej swego rodzaju fatalność. Mężczyzna w wściekły wygląda jak wariat.

*) Fragment książki „Pamiętnik wiejskiego proboszcza”, która ukazuje się niebawem nakł. Inst. Wyd. Pax.

A biedne wiejskie dziewczyny, które znałem za czasów dzieciństwa, swą gestykulacją, swymi krzykami, swoją groteskową przesadą raczej śmieszyły mnie. Nie miałem pojęcia o tej milczącej zaciekłości, zda się nieodpartej, o tym wielkim porywie całej istoty kobiecej ku złu ich zdobyczy — ta swoboda, ta naturalność w złem, nienawiść, bezwstyd... To było prawie piękne pięknem nie z tego świata — ani z tamtego — ze świata dawniejszego, sprzed grzechu być może? — sprzed grzechu Aniołów.

Później odrzuciłem tę myśl jak tylko mogłem najdalej. Jest niedorzeczna, niebezpieczna. Z początku ku nie wydała mi się piękna i zresztą sformułowałem ją sobie niedokładnie. Twarz panny Chantal była tuż przy mojej. Świt przeszczał się powoli poprzez brudne szyby zakrystii, świt zimowy, przyzajacając smutny. Milczenie między nami, rozumie się, trwało bardzo krótko, tyle, co Salve Regina (i rzeczy-

wiście, słowa z Salve Regina takie piękne, takie czyste przyszły mi na usuta bezwiednie).

Musiła zauważyć, że się modlę. Tupnęła ze złości nogą. Wzięła ją za rękę, tak małą, tak szczupłą, że ledwie ją uczułem w swojej dłoni. Musiałem widocznie ścisnąć ją więcej, niż chciałem. Powiedziałem jej: „Naprzód proszę uklęknąć!” Zgięła troszkę kolana przed ołtarzem, oparła się rękoma o balustradę i patrzyła na mnie z niepojętym zuchwalstwem i rozpaczą. — „Proszę mówić: Panie Boże. W tej chwili jestem zdolna tylko Ciebie obrazić, ale to nie ja Ciebie obrażam, tylko zły duch, którego mam w sercu”. Jednakowoż powtórzyła słowo po słowie głosem recytującego dziecka. W gruncie rzeczy, to jest prawie dziewczynka! Jej długie futro zsunęło się całkiem na ziemię, tak, że deptałem po nim. Raptem wstała, raczej mi się wymknęła i obrócona twarzą do ołtarza powiedziała przez zę-

by: „Może mnie ksiądz przekląć, jeżeli chce, ja sobie z tego nic nie robię!” Udałem, że nie słyszę. Cóż było robić?

„Proszę pani, podjąłem, nie będę prowadził dalej tej rozmowy tutaj, w kościele. Jest tylko jedno miejsce, gdzie mogę panią wysłuchać” i popchnąłem ją łagodnie w stronę konfesjonału. Uklęła sama. „Ja nie mam ochoty się spowiadać”. — „Nie żądam tego. Niech pani tylko pomyśli, że te drewniane ścianki słyszały wyznanie wielu sromotnych grzechów, że są jakby nimi nasycone. To nic nie znaczy, że pani jest szlachcianką. Pycha jest tutaj takim samym grzechem jak inne, trochę więcej błota na kupie błota”. — „Dostyc tego! — powiedziała. — Ksiądz wie doskonale, że ja się domagam tylko sprawiedliwości. Zresztą, co mi tam błoto! Błoto, to jest być tak upokorzona, jak ja jestem. Odkąd ta okropna kobieta weszła do naszego domu, jadłam więcej błota niż chleba”.

— „To są słowa, które pani wzięła z ksiązek. Jest pani dzieckiem, niech pani mówi jak dziecko”. — „Dziecko! Od dawna już przestałam być dzieckiem. Wiem teraz wszystko, co można wiedzieć. Wiem dosyć na całe życie”. — „Proszę się uspokoić!” — „Jestem spokojna. Życzę księdzu być tak spokojnym jak ja. Słyszałam ich dzisiaj w nocy. Byłam akurat pod ich oknem w parku. Oni nawet nie zadają sobie trudu, żeby zapuszczać stopy. (Zaczęła się śmiać w okropny sposób, gniew ją dławił, a po nieważ nie chciała klęczeć, musiała stać zgięta we dwoje, z czołem opartym o bok konfesjonału). Wiem doskonale, że oni tak się urządzają, żeby mnie za wszelką cenę oddalić. Mam jechać do Anglii w przyszły wtorek. Mama ma tam kuzynkę, uważa ten projekt za bardzo odpowiedni, bardzo praktyczny. Odpowiedni! Można zdechnąć ze śmiechu! Ale ona wierzy we wszystko, co jej powiedzą, cokolwiek bądź, zupełnie jak żaba połyka muchę. Brr..! — „Matka pani...” zacząłem — Odpowiedziała mi słowami niemal tak ohydny, że nieośmielałam się ich powtórzyć. Mówiła, że tamta nieszcześliwa kobieta nie potrafiła bronić swego szczęścia, swego życia, że była tchórzliwą idiotką.. „Pani podsłuchuje pod drzwiami, powiedziałem, podgląda pani przez dziurkę od klucza, uprawia pani rzemiosło szpiega, pani, panna z dobrego domu! Ja jestem tylko biednym chłopem, spędziłem dwa lata swej młodości w atmosferze karczmny, do której by pani wejść nie chciała, ale nie postępowalibyśmy tak jak pani, choćby szło o ocalenie mego życia”. — Podniosła się gwałtownie, stała przed konfesjonalem z pochyłoną głową, z twarzą wciąż równie zaciętą. Zawołałem: „Proszę klęczeć! Na klęczki!”... Posłuchała mnie znowu.

Wyrzucałem sobie onegdaj, że wzięłem zanadto na serio to, co może było tylko nieuświadomioną zazdrością, niezdrowymi marnymi rzeniami, koszmarami. Tak nas ostrzegano przed spryciarstwem tych, które nasze stare traktaty moralności tak zabawnie nazywają „osobami płci!” Wówczas wyobrażałem sobie doskonale wzruszenie ramionami proboszcza z Torcy. Ale to dlatego, że siedziałem sam przy stole, zastanawiając się nad słowami ma chinalnie zachowywanymi w pa (dokończenie na str. 2-giej).

Wytyczne.

W poprzednim numerze określiliśmy nasze stanowisko w sprawie stosunków między Kościołem Katolickim i Państwem w Polsce. Dziś, przedmiotem naszych wytycznych jest sprawa „Caritasu”, która nabrała tak wielkiego rozgłosu w polskiej opinii publicznej. Sprawa ta niewątpliwie wiąże się z całokształtem stosunków między Kościołem i Państwem.

W sposób niezwykle wnikliwy i trafny określił charakter i zadania „Caritasu” naczelny dyrektor tej instytucji w wywiadzie, umieszczonym w „Słowie Powszechnym”, mówiąc:

„Chciałbym ze szczególnym naciskiem podkreślić specyficznie katolicki charakter naszego zrzeszenia. „Caritas” nie może się stać jakąś organizacją humanitarną tego typu, która pobudkę i cel działania widzi wyłącznie w walce z nędzą materialną. Miłosierdzie chrześcijańskie najgłębsze swoje źródło i uzasadnienie czerpie z nadprzyrodzonej miłości Boga, a stąd wypływa ważki obowiązek oddziaływania moralnego zarówno w stosunku do podopiecznych jak i w stosunku do śpieszących z pomocą. Dążąc zatem do podniesienia i uszlachetnienia duchowego oraz do usamodzielnienia materialnego wszystkich korzystających z opieki, winniśmy się jednocześnie starać o wprężenie jak największej ilości katolików do osobistej pracy i poświęcenia dla bliźnich. Wyznaniowy, katolicki charakter naszej organizacji nie tylko że nie zacieśnia naszych obowiązków wobec społeczeństwa, lecz przeciwnie poszerza je. Miłość chrześcijańska każe widzieć w każdym człowieku bliźniego, którego Chrystus nakazał kochać i któremu w potrzebie należy dopomóc. Zarówno o pomocy, jak i o formie jej udzielania winno decydować tylko kryterium bardziej potrzebującego. Jestem przekonany, że w ten sposób przy czynimy się do realizacji podstawowych założeń prawdziwie katolickiej akcji charytatywnej, to jest budzenia ducha wzajemnej miłości oraz szerzenia poczucia sprawiedliwości społecznej. Wspaniałym przykładem chrześcijańskiego miłosierdzia jest Zakład Opieki nad Ociemniałymi w Laskach. Jeżeli w naszej pracy spełnimy choć w części ideał, stanowiący praktykę dnia codziennego tej akcji, będziemy mogli ze słuszną dumą mówić o autentycznie katolickim i postępowym charakterze naszej działalności. Pełnienie uczynków miłosierdzia, bez których nie ma prawdziwego katolicyzmu, jest dziś zwłaszcza szczególnie obowiązkem wierzących jako konkretna forma świadczenia nieprzemijających wartości naszej religii”.

Akceptując całkowicie powyższe poglądy podkreślamy, że działalność „Caritasu” w Polsce jest niezbędna zarówno dla dzieła miłosierdzia chrześcijańskiego, jak i jako ważna placówka na odcinku opieki społecznej. Kontynuacja działalności „Caritasu” nie może ulec zahamowaniu przez fakt, że przepisy prawa kanonicznego przestały mieć do niej zastosowanie.

mieci, których akcent zatracił się bezpowrotnie. Teraz zaś miałem przed sobą dziwną twarz, zmioną nie przez lęk, lecz przez strach głębszy, bardziej wewnętrzny. Owszem, znam pewną zmianę rysów dosyć zbliżoną do tej, tylko dotychczas obserwowalem ją jedynie na twarzach konających i przypisywałem naturalnie przyczynom pospolitym, fizycznym. Lekarze chętnie mówią o „masce agoni”. Lekarze często się mylą.

Co powiedzieć, co zrobić, aby pomóc tej zranionej istocie, której życie zdawało się płynąć po falach jakiegoś niewidzialnego wypaczenia? I mimo wszystko sądziłem, że powinienem milczeć jeszcze parę chwil, zaryzykować to. Odnalazłem zresztą trochę siła, żeby się modlić. Ona też milczała.

W owej chwili stała się rzecz szczególna. Nie tłumaczę jej, powtarzam to, co było. Jestem tak zmęczony, taki nerwowo, że możliwe jest ostatecznie, iż to mi się śniło. Krótko mówiąc, podczas gdy wpatrywałem się w ten ciemny otwór, gdzie nawet w pełnym świetle dnia trudno mi rozpoznać jakąś twarz, twarz panny Chantal zaczęła mi się powoli i stopniowo jawić. Obraz był tu przed mymi oczyma w jakiejś przedziwnej zmienności i ja trwałem w bezruchu, bojąc się, żeby najmniejszy mój gest nie spłoszył go. Rozumiałem się, nie zrobiłem tego spostrzeżenia od razu, lecz dopiero później. Zastanawiam się, czy ta swego rodzaju wizja nie miała związku z moją modlitwą, być może była ona samą modlitwą. Moja modlitwa była smutna i obraz był smutny, jak ona. Z trudem mogłem znieść ten smutek, a jednocześnie pragnąłem go dzielić, wziąć go na siebie całkowicie, żeby mnie przeniknął, napełnił moje serce, duszę, ciało, moją istotę. On tłumił we mnie ten głuchy zgiełk głosów beładnych, wrogich, które słyshałem bez ustanku od dwóch tygodni, przywracał dawną ciszę, błogosławioną ciszę, w której Bóg będzie mówił — Bóg mówi...

Wyszedłem z konfesjonału, a ona wstała przede mną; znowu znaleźliśmy się twarzą w twarz i już nie poznałem swojej wizji. Bładość jej była niesłychana, prawie śmieszna. Ręce jej drżały. „Ja już nie mogę, powiedziała dziecinny głosem. Dlaczego ksiądz tak się na mnie patrzył? Proszę mnie zostawić w spokoju!” Oczy miała suche, płonące. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Odprowadziłem ją łagodnie aż do drzwi kościoła. — „Gdyby pani kochała ojca, nie trwałaby pani w tym strasznym stanie buntu. Więc to pani nazywa „kochać”? — „Ja już go nie kocham, odpowiedziała. Myślę, że go nienawidzę, ja ich wszystkich nienawidzę”. Słowa syczały jej w ustach i przy końcu każdego zdania miała jakby czkawkę, czkawkę wstrętą, znużenia, nie mam już pojęcia — czego. — „Nie chcę, żeby ksiądz mnie brał za idiotkę, rzekła tonem duńności i pychy. Matka wyobraża sobie, że ja nic nie wiem o życiu, jak ona powiada. Musiałabym nie mieć oczu. Nasza służba to są istne małpy, a ona myśli, że są bez zarzutu — „ludzie bardzo pewni”. Ona ich sobie wybrała, rozumie ksiądz chyba! Dziewczęta powinno się oddawać na pensję. Krótko mówiąc mając dziesięć lat, a może i mniej, ja już prawie wszystko wiedziałam. To mnie przejmowało zgrozą, politowaniem, jed-

nak przyjmowałam to, tak jak się przyjmuje chorobę, śmierć, wiele innych odrażających konieczności, z którymi trzeba się pogodzić. Ale był mój ojciec. Mój ojciec był dla mnie wszystkim, panem, królem, bogiem, przyjacielem, wielkim przyjacielem. Gdy byłam małą dziewczynką, rozmawiał ze mną bez ustanku, traktował mnie prawie na równi z sobą, miałam jego fotografię w medalionie na piersi, z puklem włosów. Moja matka nigdy go nie rozumiała. Moja matka...“ — „Proszę nie mówić o swojej matce. Pani jej nie kocha. A nawet...“ — „O, ksiądz może mówić dalej, ja jej nie znoszę, ja jej zawsze nie znoś...“ — „Niech pani milczy! Niestety są we wszystkich domach, na wet chrześcijańskich, niewidzialne stwory, złe duchy. Najsroższy zły duch był w pani sercu od dawna, a pani o tym nie wiedziała...“ — „To dobrze, rzekła. Chciałabym, żeby ten stwór był okropny, ohydny. Ja już nie snuję mego ojca. Nie wierzę już w niego, z reszty sobie kpię. On mnie zdradził. Można zdradzić córkę, tak jak się zdradza żonę. To nie jest to samo, to jest gorsze. Ale ja się zemszczę. Ucieknę do Paryża, pójdę na złą drogę i napiszę mu: Oto coś ze mnie zrobił! I on będzie cierpiał tak, jak ja cierpiałam!” Pomyślałem przez chwilę. Wydawało mi się, że czytam stopniowo na jej wargach inne słowa, których nie wypowiadała, które wrażały się w mój mózg, jedno po drugim, płonące. Zawołałem jakby mimo woli: „Pani tego nie zrobi. Nie to panią kusi, ja wiem!” Zaczęła drzeć tak mocno, że musiała się oprzeć oburącz o ścianę. I wydarzył się no wy drobny fakt, który powtarzam razem z tamtym, również go nie tłumaczę. Mówiłem na chybił trafił, przypuszczam. A jednak byłem pewny, że się nie mylę. „Proszę mi dać list, który pani ma tam, w woreczku. Proszę mi go dać natychmiast!” Nie próbowała się opierać, a tylko głęboko westchnęła, podała mi papier wzruszając ramionami. „Ksiądz jest chyba diabłem!” powiedziała.

Wyszliśmy prawie spokojnie, ale ledwom się trzymał na nogach. Szedłem zgięty we dwoje, bóle żołądka, prawie zapomniane, znowu dały znać o sobie, silniejsze, bardziej męczące niż kiedykolwiek. Pewne słowo kochanego starego doktora Delbende przypomniło mi się: „ból na różnie”. To było istotnie to. Myślałem o tym borsuku, które go hrabia przygotował do ziemi przy mnie oszczepem i który konał przebity na wylot w jamie, porzucony nawet przez psy.

Panna Chantal nie zwracała zresztą na mnie najmniejszej uwagi. Szła z podniesioną głową między mogiłami. Ledwie śmiałem na nią patrzeć, trzymałem jej list w palcach, a ona nie kiedy rzucała na niego okiem z ukosa z dziwnym wyrazem twarzy. Trudno mi było dotrzymać jej kroku. Każdy krok mógł wyrwać ze mnie krzyk, kasałem sobie wargi do krwi. Wreszcie osądziłem, że ten upór w przezwytyczaniu bólu miał w sobie pewną pychę, i poprosiłem ją po prostu, żeby się chwilę zatrzymała, że ja już nie mogę iść dalej.

Po raz pierwszy być może patrzyłem na twarz kobiety. O, oczywiście nie unikam ich zazwyczaj i zdarza mi się spotykać przyjemnie twarze, ale choć nie podzielałam skrupułów niektórych moich kolegów z semi-

narium, znam zbyt dobrze ludzką złośliwość, żeby nie zachowywać rezerwy niezbędnej dla księdza. Dzisiaj ciekawość wzięła górę. Ciekawość, której się mogę nie wstydić. To była, sądzę, ciekawość żołnierza, co się wysuwa z okopu, żeby nareszcie zobaczyć nieprzyjaciela nie w ukryciu, albo jeszcze... Przypominam sobie, że mając siedem czy osiem lat, gdy towarzyszyłem mojej babce do starego krewnego, który umarł pozostawiony w pokoju, gdzie nikogo nie było, podniosłem całun i po patrzyłem tak samo na twarz trupa.

Są twarze czyste, z których promieniuje czystość. Niezawodnie taka była niegdyś twarz, którą miałem przed sobą. A teraz miała w sobie coś zamkniętego, nieprzeniknionego. Nie było już w niej czystości, ale ani gniew, ani pogarda, ani wstyd nie zdołały jeszcze zetrzeć tajemnego znaku. Wykrzywiła jej tylko twarz. Jej nadzwyczajna szlachetność, prawie przerażająca, dowodziła siły zła, grzechu, tego grzechu, który nie był jej grzechem... Boże! Czyż my jesteśmy tacy nędzni, że bunt dumnej duszy może się obrócić przeciw niej samej? — „Może pani nie wiem jak się wysilać, powiedziałem jej (byliśmy wtedy w głębi cmentarza, koło furtki wychodzącej na zagrodę Kazimierza, w tym zaniedbanym kącie, gdzie trawa jest tak wysoka, że już nie widać mogił, moglił opuszczonych od stu lat), kto inny na moim miejscu, być może nie chciałby pani słuchać. Ja pani wysłuchałem, trudno. Ale ja nie podejmę pani wyzwania. Bóg nie podejmuje rzucanej rękawicy”. — „Niech mi ksiądz odda mój list i będę uważała, że z nami kwita. Ja potrafię bronić się sama”. — „Bronić się przeciw komu, przeciw

czemu? Zło jest silniejsze od ciebie, moja córko. Czy jesteś tak pyszna, że sądzisz, iż ciebie nie dosięgnie?” — „Przynajmniej błoto, jeśli zechcę”, — powiedziała. — „Sama jesteś z błota”. — „Frazesy! Czy wasz Pan Bóg zabrania teraz kochać ojca? — „Nie wymawiaj słowa miłość — powiedziałem — straciłaś do tego prawo i niewątpliwie możliwość. Miłość! Są na świecie tyśiące ludzi, którzy proszą o nią Boga, są gotowi strasznie cierpieć, byle na ich spieczonych wargach upadła kropla wody, tej wody, której nie odmówiono Samarytance, i błagają o nią daremnie. Ja ci mówię, że...”

Zatrzymałem się w porę. Ale ona musiała zrozumieć, bo wydała mi się strasznie wstrząśnięta. Prawda, że chociaż mówiłem cicho — a może właśnie dlatego — przymus, jaki sobie zadawałem musiał nadawać memu głosowi szczególny akcent. Miałem wrażenie, że mi drży w piersi. Niezawodnie ta młoda dziewczyna uważała mnie za wariata. Jej wzrok unikał mego i wydało mi się, że cienie pod oczami rozchodzą się na całe policzki. — „Tak, podjąłem, proszę zostawić dla innych takie tłumaczenie. Ja jestem tylko biednym księdzem, bardzo niegodnym i bardzo nieszczęśliwym. Ale ja wiem, co to jest grzech. Pani tego nie wie. Wszystkie grzechy są do siebie podobne, jest tylko jeden grzech. Nie mówię do pani językiem niejasnym! Te prawdy są dostępne dla najniższej szego chrześcijanina, byle tylko zechciał przyjąć je od nas. Świat grzechu staje naprzeciw światu łaski jak nadbrzeżny pejzaż staje naprzeciw swego odbicia w wodzie ciemnej i głębokiej. Jest obcowanie świętych, jak również obcowanie grzeszników. W nienawiści, którą grzesznicy od-

czuwają jeden dla drugiego, w pogardzie jednoczą się, obejmują, skupiają, mieszają ze sobą i pewnego dnia w oczach Przedwiecznego będą już tylko tym jeziorem błota, zawsze grząskiego, po którym przewala się daremnie przyływ i odpływ boskiej miłości, morze płomieni żywych i huczących, które zapłodziło chaos. Kim pani jest, żeby sądzić winę bliźniego. Kto wydaje sąd o winie, stanowi z nią jedność, poślubia ją. Pani myśli, że jest daleka od tej kobiety, której pani nienawidzi, a tymczasem pani nienawidzi i jej wina są jak dwa potomkowie tego samego rodu. Co znaczą wasze klótnie, gesty, krzyki? Nie więcej niż też wiatr, co wieje. Śmierć tak czy owak doprowadzi was niebawem do bezruchu, do milczenia. Cóż znaczy, że teraz jesteście złączeni złem, schwytani wszyscy troje w sidła tego samego grzechu — jedno grzeszne ciało — towarzysze — tak, towarzysze! — towarzysze na wieczność”.

Powtarzam z konieczności bardzo niechętnie moje własne słowa, gdyż w mej pamięci nie pozostaje nic dokładnego poza grą twarzy, na której zdawało mi się tę grę czytać. — „Dosyć!” — powiedziała mi głuchym głosem. Ale czy nie prosiły o łaskę. Nigdy nie widziałem, zapewne nigdy nie zobaczę twarzy tak surowej. A przecież jakieś przecucie upewniło mnie, że to był jej największy i ostatni wysiłek przeciw Bogu, że grzech wychodził z niej. Czego nie mówi się o młodości, o starości? Czyż ta twarz zboląla była tą samą, którą widziałem kilka tygodni temu, prawie dziecinną? Nie potrafiłbym określić jej wieku i może istotnie nie miała go? Pycha nie ma wieku. Ból właściwie również.

George Bernanos

Wacław Sadkowski

Wspomnienie o dr Marcinkowskim

Wypada dzisiaj przypomnieć mi w ślad za p. Włodzimierzem Dropiem, który niedawno w „Tygodniku Powszechnym” dokonał ciekawej analizy dorobku życiowego Tadeusza Lubomirskiego — zapomnianą dość gruntownie postać dra Jana Karola Marcinkowskiego (1800 — 1846).

Nie pora tu ani miejsce na przedstawienie dokładnej biografii dra Karola Marcinkowskiego, do której skreślenia pióro piszącego nie jest zresztą powołane. Inny też jest cel tego sumarycznego szkicu, świadomie symplifikującego wielką ilość problemów, związanych z rozległą działalnością Marcinkowskiego. Postać to przeciętnemu inteligentowi niewiele mówiąca, do czego przychylił się brak jej obszernej i dokładnej monografii. A przecież społeczne postulaty Marcinkowskiego, rozpatrywane z dowolnych punktów widzenia, nie są wcale mniej twórcze czy atrakcyjne, niż dążenia społeczne Andrzeja Frycza Modrzewskiego, o którym ostatnio tak głośno.

Już w latach studenckich Karol Marcinkowski pracuje w organizacjach młodzieży polskiej, studiującej na uniwersytecie berlińskim. W latach tych (1817 — 1822) kształtowała się umysłowość przyszłego działacza. Wpływ nań mają wówczas Tadeusz Kościuszko, Ignacy Potocki, Hugo Kołłątaj. Z bezpośredniego kontaktu z Ludwikiem Sachse i Mauersbergerem, działaczami studenckimi, wysuwa prak-

tyczne wnioski. Aresztowany jednak z grupą studentów zorganizowanych w stowarzyszenie p. n. „Polonia” młody dr Marcinkowski przymusowo opuszcza Berlin i wywieziony zostaje do Wisłoujścia na sześć miesięcy twierdzy.

W początkach swej kariery lekarskiej w Poznaniu Karol Marcinkowski zjednywa sobie uznanie i szacunek społeczeństwa dzięki swej ofiarnej pracy. Uderza brak wszelkiej filantropii w jego postępowaniu — Marcinkowski ustosunkowuje się do ubogich zupełnie właściwie, bez żadnych znamion załganego altruizmu czy poży. W wolnych chwilach pracuje bezinteresownie w szpitalu ss. miłosierdzia. Dowodem uznania tej pracy było ofiarowanie przez społeczeństwo poznańskie drogi Marcinkowskiemu pierścienia zmarłego biskupa Teofila Wolickiego.

Powstanie Listopadowe stanowi zwrotny punkt w życiu dra Karola Marcinkowskiego. Bystry ten umysł pojmuje natychmiast błąd koncepcji powstania w którym Marcinkowski zresztą uczestniczy. Jest ono dla niego czymś w rodzaju pogładowej lekcji historii i nauk społecznych. Marcinkowski poddaje ideę powstania wnikliwej analizie (według posiadanych śladów miało to miejsce w Angli, już na emigracji), w wyniku której zraża się na zawsze do tego rodzaju środków odzyskania niepodległości. Następnie udaje się do Paryża, gdzie eksperymentuje w pracy społecznej two-

rząc w ramach Towarzystwa Historyczno - Literackiego ks. Adama Czartoryskiego Towarzystwo Pomocy Naukowej, opiekując się studium zagranicą Polakami. W tym okresie precyzuje swoje stanowisko wobec sprawy narodowościowej. Niezwykle interesującym jest faktem, iż jego konkretne dążenia i idee społeczne uderzająco przypominają niektóre hasła pozytywistów. Zauważmy, że ideą pracy u podstaw, „budowaniem drzewa wolności” (jak to sam określa w liście do sędziego Szumana w Poznaniu) wyprzedza epokę o trzy dziesiątki brzemiennych w doświadczeniu lat. Mamy tu do czynienia z podobnym jak i u Brata Alberta „heroizmem realistycznym”, przyspieszonym tylko o cały etap historii.

Kwestią osobnego już artykułu jest docieknienie, w jaki sposób i jakimi drogami dr Marcinkowski, umiejscowiony w określonym a wybitnie tego typu ewolucji duchowej niesprzysiężającym kontekście historycznym, zdołał dojść do wniosków, o które dziś jeszcze wiedzieliśmy długie i jałowe niekiedy dysputy. O słuszności ich jednak twierdzi sprawdzian historii, przez który przeszedł zwycięsko.

Punkt ciężkości życia dra Karola Marcinkowskiego spoczywa w drugim okresie poznańskim, przypadającym na lata 1834 — 1846. Na terenie ówczesnej Wielkopolski obserwujemy niesłychany rozwój życia (dokończenie na str. 10-iej)

B. M. Długoszewski

Sprawa Bałdygów

Jędrzeja Bałdygę polubiłem od pierwszej chwili naszej znajomości zawartej w celi więziennej. Do Oświęcimia powędrowaliśmy już jako serdeczni przyjaciele. Tam biedowaliśmy w jednym baraku, wspomagając się wzajemnie w każdej potrzebie. Polubiłem Jędrzeja za jego szczerą, bezinteresowną życzliwość i uczynność dla mnie i współtowarzyszów, a nade wszystko za niezwykle delikatność cechującą tego na pozór prostego chłopaka. Jako sąsiad na legowisku miał jedną wadę: był zbyt małomówny i nieskory do zwierzeń. Niechętnie mówił o sobie i o swojej przeszłości. Ledwie tyle wiedziałem o nim, że pochodzi z Puszczy Kurpiowskiej, a „wpadł” za okazywanie pomocy skoczkom radzieckim i przechowywanie broni.

Jędrzej nigdy nie uskarżał się na własną biedę i poniewierkę. Natomiast żywo odczuwał cudze cierpienie. Szczególnie wzruszała go niedola kobiet więzionych w obozie. Często widzieliśmy je, jak stały na karnych apelach przemokłe, zziębnięte, udreżone. Patrząc na nie wdychał żałośliwie:

— Chudziń, niebożątka, jak to się męczą! Gorzej im tu nieboraczkom, niż nam.

Obcując z nim i obserwując z bliska wyczuwałem, że trawi go jakaś zgrzyzota. Często zapadał w smętną zadumę, a wówczas w jego wyrazistych ciemnobłękitnych oczach malował się taki ból i cierpienie, że odruchowo pytałem: „Jędrzej, co ci, gadaj czym się trapiś, mówże, może ci co pomogę?” Odpowiadał przyjaznym spojrzeniem i przeczącym ruchem głowy. Nie nalegałem, nie wypytywałem, szanując jego milczący, tajony ból.

Pewnego dnia pracowaliśmy na placu opałowym. Zsypywaliśmy w kopce węgiel przywożony autami. Podczas przerwy obiadowej przyszedł szrajber naszego baraku pobierać węgiel. Skoczyliśmy z Jędrzejem pomagać mu ładować worki. Szrajber śmiejąc się oznajmił nam:

— Będziecie mieli nowego sąsiada i też... Bałdygę!

— Niby jak? — spytał zdziwiony Jędrzej.

— A tak, że dopiero co przybyło do nas kilku nowych, a między nimi jakiś Bałdyga. Nawet podobny do ciebie, też taki dryblas, tylko dużo starszy. Dam go do waszej buksy, ale uważajcie na niego, bo to kryminalny, z łomżyńskiego więzienia przyszedł...

Jędrzej słuchał szrajbera z widocznym zaniepokojeniem, a przy ostatnich jego słowach drgnął i upuścił trzymany w ręku worek. Chwilę stał nieruchomo, spoglądając na nas przerażonym wzrokiem, po czym jął szybko zbierać rozsypany węgiel. Pomagając mu widziałem jego pobladłą twarz i słyszałem trwożny szepot:

— O Jezu, czy by to on...

Do zejścia z placu trzymał się na uboczu, pracując zawzięcie. Wracając do baraku szedł ociężały, przygasły, wyraźnie unikając rozmowy ze mną. Zaintrygowało mnie wrażenie jakie wywarła na nim wiadomość o przybyciu z Łomży.

Gdy weszliśmy do baraku, w naszej buksie siedział już nowy Bałdyga i już chleb, ponuro patrząc przed siebie. Przyglądałem się mu ciekawie. Stary, tegi chłop istotnie był podobny do Jędrzeja, tylko oczy miał całkiem odmienne:

małe, wyblakłe, o dziwnie ciężkim spojrzeniu.

Jędrzej nie śpieszył się do buksy; kręcił się po baraku. Czuję, że chce odwlec chwilę spotkania się z nowym. Umyślnie przywołałem Jędrzeja z nazwiska. Stary, spode łba spojrzawszy na mnie, zapytał:

— Mnie wołacie? Czego?

— Nie was wołam, jest tu inny Bałdyga — Jędrzej.

Na twarzy starego dojrzałem lek. Chwilę łypał przerażonymi oczami, bezdźwięcznie otwierał usta jakby mu tchu zabrakło, wreszcie z trudem wykrztusił:

— Jędrzej, mówicie, Boże ratuj, nijak to on będzie... Patrzcie, to by my aż tu się zeszli — mamrotał niespokojnie.

— A kóten to?

— O, to ten, idzie tu, patrz!

Stary spojrzął, szybko odwrócił się, ułożył na legowisku, przykrywając głowę kocem.

Jędrzej cały wieczór nie przemówił słowa do mnie, ani do sąsiadów. Siedział skulony, nieruchomy, w ponurej zadumie. Nowoprzybyły leżał milczący, choć go zagadywano o to i owo, zwyczajnie jak każdego nowego.

— Stary mruk — zawyrokawał ktoś niechętnie.

Poszliśmy spać. Nie od razu zasnąłem. W ciszy słyszałem jak Jędrzej dłużej niż zwykle szeptał pacierze. Naprzeciw, cicho, żałośnie popłakiwał nowy.

Tak się przyjęło, że rozróżnialiśmy Bałdygów według wieku. — Młody Bałdyga — stary Bałdyga — wołano na nich na zbiórce czy na robocie. Zauważyłem, że młody wyraźnie unikał starego. Natomiast stary ciągle wodził za nim lęklwym, łzawym, proszącym wzrokiem. Postanowiłem dociec co jest między nimi. Poprosiłem szrajbera, by mnie i starego Bałdygę przeznaczył kiedy do sprzątnięcia baraku. Zgodził się chętnie. Za kilka dni razem ze starym uprzątnęliśmy barak i podwórko. Uwinęliśmy się szybko i przysiedliśmy pod ścianą. Zaczęliśmy rozmawiać. Chcąc usposobić go przychylnie, obiecywałem poprosić szrajbera, by go ze względu na wiek przeznaczył do lepszych robót. Poczęstowałem papierosem i ostrożnie zacząłem pytać.

— Zdaje mi się, żeście z Jędrzejem znajomi, a tak jakoś dziwnie wy między sobą. Poróżniliście się, czy jak?

Stary chwilę milczał. Nagle zwilżył mu oczy, pochylił głowę, westchnął ciężko i szepnął:

— Syn to mój, jedynak. Że my tak z sobą, nie dziwota; wielki grzech i krzywda między nami... Skrzywdziłem Jędrusia, oj, skrzywdziłem. Pokarał mnie Bóg za grzechy, złość rozum odjęła. Kajam się, pokutuję już tyle lat, a zmiłowania nie widać...

Żal mi się zrobiło starego.

— A może dałoby się jakoś waszej biedzie zaradzić? — zapytałem.

Stary spojrzął na mnie smutnie. — Zaradzić, mówicie. Dla mnie jedno tylko zarządzenie zostało: śmierć. O nią co dzień Boga proszę i żeby mi Jędrus choć przy skonaniu darował. Dziwno wam — ciągnął dalej — bo nie wiecie, com mu uczynił. Powiem wam, sam mi osądźcie. Od początku powiem, dokumentnie jak było. Jak stało się to nieszczęście, byłem już bogacz niemały. Na czterdziestu morgach siedziałem, wiecie? Sam do wszystkiego doszedłem, tymi oto pazurami i głową. Nieszczęście

siemnaście lat miałem jak ojciec pomarł. Po ojcu zostały ino diugi i pięć morgów piachu. Ciężko było. Ino, że zdrow byłem, obrotny, zaradny i śmiały, to i wydolałem. Przed tamtą wojną nasza wieś blisko granicy leżała. Co śmielsi chodzili bez granicę, chodźłem i ja. Nosiłem z Prus towary, zarabiałem dużo. Wnet popłaciłem długi, posprawiałem obrządk. Coraz to lepiej było. Matka pilnowała gospodarki, ja granicy. Bez dwa lata to my gruntu drugie tyla dokupili. Dużo ludzi wten czas do Ameryki i do Prus na robotę szło, za przeprowadzenie bez granicę dobrze płacili. Mężniatem, pora było o żeniactwie pomyśleć. Akurat umarł sąsiad, obieszczył go ustrzelili. Ostała się wdowa bezdzietna, a obok mego gruntu dziesięć morgów dobrej ziemi. Wysła jej żałoba, zacząłem się swatać. Ożeniłem się. Stałem mocno na nogi. Byłem już gospodarzem nie byle jakim. Sołtysem mnie obrali, za starszego w bractwie byłem. Czapkowali mi pomniejsi, a zazdrościli bogactwa i znaczenia. Bez granicę więcej nie chodźłem. Głową majątku przysparzałem. Było trochę grosza w zapasie, wygadało się ludziom po potrzebującym. Wspomagałem biedotę na przednówku — wracał grosz przysporzony. Coraz to kęs ziemi dokupilem. Markotno nam ino było, że to my z moją już czwartym razem, a dzieci nie ma. Prosimy my Boga o łaskę i uprosili. Urodziła moja synaczka, Jędrusia. Dopiero się do roboty przyłożył. Było dla kogo pracować, komu majątek zdać. Rósł mi chłopak zdrowy, mądry taki, a stateczny i posłuszny. Radość brała patrzeć, jaki udany był. Oszczędzałem go jedynaka, do szkoły posyłałem, a pomału gospodarki przyuczyłem doglądać. — Panem będzie — myślę — sam wiele robić nie musi, aby ino parobków dobrze dopilnować umiał. Przyszedł czas — wzięli go do wojska. W ułanach w Ostrołęce służył. Tam to naszej biedy początek. Ułubował sobie taką jedną, co u oficera na posługach była. Omamiła go na amen. Ni do rodu jakiego, ni majątku żadnego. Tyle, że na rzadkość gładka była. Skończyła mu się służba, nie opowiadając się za żonę ją wziął. Przyprował do domu. Z tłumoczką przyszedł, tyle co w nim trochę szmat miała. Obrza Boska, wstyd i pośmiewisko dla wsi, bo to jużem mu był za żonę gospodarską córkę upatrył z ojcem prawie zmówił się, a tu Jędrus tak mnie wyszykował. Piekla się zrobiło w domu. Nie daj Boże, jak my żyli. Coraz gorzej było, bo to oni wnet matkę na swoją stronę przekabacili i już we troje przeciw mnie szli. Złość we mnie coraz większa rosła, dniem i nocą myślałem jakby biedzie zaradzić. Co tu tać, różnie myślałem jak to w złość bywa, no i diabeł mnie skusił, i okazję nadarzył...

Nadejście blokowego, który zapędził nas do trzepania koców, przerwało zwierzenia starego. Wicczorem, w baraku, bezskutecznie próbowałem nakłonić go do dalszego opowiadania.

— Ciekawicie cudzej biedy, mało wam swojej? — zbyt mnie opryskliwie.

Wyszedłem na podwórko, rozglądając się za Jędrzejem. Siedział pod ścianą baraku zgarbio-

ny, zamyślony. Przystąpiłem do niego i zaproponowałem:

— Chodź, połóżmy razem, pogadamy, przedziej czas zleci.

Chodząc z nim pod ramię, jałem ostrożnie wypytywać go o rodzinę, dom i matkę, szukając okazji do wszczęcia rozmowy o starym. Odpowiadał niechętnie, zdawkowo. Widząc, że wyraźnie unika interesującego mnie tematu, powiedziałem mu wprost:

— Wiesz, Jędrzek, rano rozmawiałem z twoim ojcem. Opowiadał o tobie...

— A, to już wiecie, — przerwał mi Jędrzej. — Ostawcie mnie!

— Czekał, Jędrzek — mitygowałem — pogadajmy po ludzku. Nie wiem, co jest między tobą a ojcem, ale widzę, że wam obu coś mocno dolega. Żal mi ciebie, żal i starego. Nie lepiej by wam pojednać się?

— Pojednać! — zachnął się Jędrzej — a wiecie, co jest między nami?

— Nie wiem, bo o tym stary mi nie mówił.

— No, to ja wam powiem: śmierć jest między nami. Żonę mi struł, a wy mówicie, pojednać się! — Chwylił mnie mocno za rękę i patrząc w oczy pytał: — Powiedzcie, jakby wam tak kto umiłowanego czeka struł, jednabyście się z takim? No, mówcie!

Zaskoczony wyznaniem Jędrzeja i nieoczekiwanym pytaniem odparłem wymijająco:

— Nie wiedziałem, że cię tak strasznie skrzywdził: Kto by to przypuszczał...

— Tak, kto by to przypuszczał — gorzko powtórzył Jędrzej. — A jednak uczynił to i za co? Za to, że majątku nie miała. Mało mu swego bogactwa było. Chciwość sumienia i serce mu wyżarła. Moją niebogę zgładził, a mnie życie zmarnował — mówił gorzko, urywając, dysząc ciężko.

Przykro mi się zrobiło, że z nadmiaru dobrych chęci uraziłem jego bolączkę. Chcąc przerwać drażniącą go rozmowę, zacząłem mówić o naszych sprawach obozowych. Jakby nie słysząc mnie wyrzucił się dalej:

— Przez ten czas, co my razem/byli, ile on jej nadokuczał! A przecież jaka dobra, cicha i pracowita była. Prosiłem ją, prosiła i matka, żeby piekła w domu nie robił. Pod koniec niby złagodniał. Cieszyli się my, nie wiedząc co w sercu tai. We żniwa zastała moja. Kurowała ją matka ziołami, jak to u nas... Ojciec też doradzał to i owo, niby żałując jej. Myślałem, że całkiem udobruchał się, a on, wiecie co zrobił? Trutki do leków dodawał. Widzę ją, że nie skutkują matczyne zioła, Marcysci coraz to gorzej. Chcę ją do szpitala wieść. Odradza ojciec, że to i koszt duży i mitrega czasu, że konie w polu potrzebne. Każę czekać, aż żniwa skończymy.

Siłą my z matką wzięli konie i do miasta ją powieźli. Do szpitala oddaliśmy Marcysię już całkiem nieprzytomną. Za parę godzin zmarła. Chcemy zabrać nieboszczkę — nie dają. Mówią, że doktorzy uznali, jako struta jest i musi być dochodzenie. Mnie, jakim tylko to usłyszał, od razu coś tknęło. — Nikt inny, tylko on — pomyślałem. Jak się w to wdała policja i śledczy, wszystko wyszło na jaw. Zabrali ojca i zaszędzili na dziesięć lat. W Łomży siedział, a teraz, na większą moją udrękę, tu go przysłałi. — Machnął desperacko ręką i wybuchnął: — Powiedzcie po ludzku, czy mogę się z nim pojednać?

Milczałem nie umiejąc odpowiedzieć na jego pytanie. — Bóg was kiedyś rozsądzi — pomyślałem.

Za kilka dni wypadło nam pracować przy układaniu drzewa. Trafiały się i duże, ciężkie kłocę, które kazano nam układać oddzielnie. Do południa ułożyliśmy tego dość pokaźny stos. Robota szła ciężko i marudnie, bo od rana padał deszcz i oślizgłe kłocę często staczały się z kupy. Trzeba było uważać, żeby kogo nie przygniotło. Pracowałem z nami i stary Bałdyga. Już kończyliśmy układanie, gdy ktoś, poprawiając bał, leżący na wierzchu, poruszył go tak niefortunnie, że zaczął staczać się na dół, a za nim potoczyły się i inne. Wszyscy uskokczyliśmy w porę, tylko Jędrzej, poślizgnąwszy się, upadł i byłoby go niechybnie przywaliło, gdyby nie stary Bałdyga. Porwał jakiś drąg i przyparł nim kłocę, toczący się na syna. Jędrzej zerwał się i odbiegł, ale stary Bałdyga nie zdążył. Przygniotły go kłocę z walącego się stosu. Z trudem wydobyliśmy go i odnieśliśmy do szpitalnego baraku. Wicczorem szrajber woła Jędrzeja:

— Chodź ze mną do starego. Prosił żebyś przyszedł, tylko patrzeć jak kipnie.

Poszedłem z nimi. Stary leżał nieruchomo, z przymkniętymi oczami. Otworzył je, gdy zapytałem, jak się czuje. Ujrawszy syna wyciągnął do niego rękę. Jędrzej stał jak drętwy. Popchnąłem go ku ojcu. Stary z wysiłkiem, zachłystując się krwawą śliną, wykrztusił:

— Przyszedłeś, syneczku, Bóg ci zapłać — i chwyciwszy go za rękę, prosił żałośnie: — Jędrus odpuść nim skonom.

Jędrzej pochylił głowę, nic nie mówiąc. Czuję, że obecność moja jest w tej chwili zbędna. Odszedłem w głąb baraku, pociągając za sobą szrajbera. Gdy po jakimś czasie wróciłem do nich, Jędrzej klęczał przy ojcu, kryjąc twarz w dloniach. Stary spojrzął na mnie łagodnymi, rozjaśnionymi oczami.

B. M. Długoszewski

UWAGA

REDAKCJA „DZIS I JUTRO“ PRAGNIE NABYC NASTĘPUJĄCE STARE, JUZ WYCZERPANE NUMERY TYGODNIKA:

NR NR 3, 4, 5, 6 za rok 1945

NR NR 2 (8), 23 (29), 34 (40) za rok 1946

ZWRACAMY SIĘ Z PROŚBĄ DO NASZYCH CZYTELNIKÓW POSIADAJĄCYCH TE NUMERY, A NIE ZBIERAJĄCYCH KOMPLETÓW, O Odstąpienie ich REDAKCJI, EWENTUALNE ZGŁOSZENIA PROSZE SKŁADAĆ NA RĘCE SEKRETARZA REDAKCJI, WARSZAWA, MOKOTOWSKA 43, I p. TEL. 8-80-26.

1) Straż pograniczna.

Wojciech Kętrzyński

Francja, kraj misyjny

BÓJ O „KATOLICYZM SPOŁECZNY”

Nasza charakterystyka odrodzonego ruchu społecznego i religijnego wśród katolików francuskich byłaby niepełna, gdyby nie pokusić się o próbę podsumowania sił, które są na tym odcinku zaangażowane. W nomenklaturze francuskiej spotyka się często pojęcie „catholicisme social”, katolicyzm społeczny. Określenie samo w sobie wątpliwe, gdyż katolicyzm ze swej natury nie potrzebuje przymiotników — jest w istocie również tylko ogólnikiem. Ma ono być wyrazem intensywnego dziś zainteresowania katolików francuskich najszerszą problematyką społeczną. W rzeczywistości jednak ów „katolicyzm społeczny”, choć niewątpliwie bardzo rozbudowany, obejmujący sobą dziesiątki najprzeróżniejszych organizacji, jest tylko zbiorem najprzeróżniejszych tendencji, programów, koncepcji, nie rzadko sprzecznych ze sobą, lub zacięcie rywalizujących o wpływy.

Tak. Fakt ożywienia się zainteresowań społecznych wśród katolików francuskich nie dowodzi jeszcze sam przez się, by stanowiły one jednolity ruch ideologiczny. Przeciwnie, liczne organizacje, działające na odcinku społecznym, począwszy od chrześcijańskich związków zawodowych (CFTC) poprzez liczne organizacje „stanowe”, jak Konfederacja Rzemiosła (CNA), Konfederacja Klas Średnich (CGCM), Konfederacja Małych i Średnich Przedsiębiorstw (PME), Ośrodek Młodych Pracodawców (CJP), aż do Ogólnofrancuskiej Organizacji Młodzieży Chrześcijańskiej i jej robotniczej odnogi — J. O. C. — są polem nieustannego ścierania się różnorodnych wpływów ideologicznych jak i politycznych. O oblicze „katolicyzmu społecznego”, o jego charakter klasowy czy powszechny, o wyraz postępowy czy konserwatywny toczy się zacięta, choć przeważnie skryta walka. Wielkie manifestacje intelektualne, w rodzaju corocznych „Tygodni Społecznych”, czy też „Zjazdu Intelektualistów Katolickich” są również raczej rewiją niż zaangażowanych w tej walce, niż obiektywnym bilansem corocznych osiągnięć.

Skrzydło postępowe „katolicyzmu społecznego”, „l'aile marchante”, jak to nazywają Francuzi — to niewątpliwie najbardziej dynamiczny, najbardziej twórczy odcinek tego frontu. Jednak nie najmocniejszy. W dalszym ciągu stanowi mniejszość z coraz większym trudem broniącą swych pozycji, zdobytych generalnym atakiem na powojenną rzeczywistość.

Jeśli, analizując rzeczywistość polityczną dzisiejszej Francji, można było bez trudności charakteryzować i ocenić poszczególne ważne ośrodki działania, to dokonanie podobnego bilansu na odcinku katolickim napotyka się na zasadnicze trudności. Siły tu nie są tak wyraźnie rozstawione na szachownicy. Front konserwatywno-mieszczanski nie potrzebuje zresztą punktów zbornych tak jasno określonych. Jest wszędzie. Spotykamy go na łamach „Monde”, „Figaro” w tej samej mierze co w „La Croix” czy centralnym organie MRP — „L'Aube”. Front mieszczański reprezentuje nie tylko reakcyjny „France catholique” redagowany przez kollaboracjonistę de Fabrègues, znajdziemy ich przedstawicieli na łamach niemalże wszystkich pism katolickich, panują oni przeważnie nad znaczną większością organizacji, posiadają swe mocne wpływy w Episkopacie Francuskim, swe stronicowstwo, swych licznych

zwolenników, zwłaszcza wśród starszego duchowieństwa.

Ośrodki postępowe są raczej w sytuacji podobnej do partyzantki na wrogim obszarze, niż na regularnej linii frontu. Stąd też trudność ujęcia ich w jasnym obrazie. Jeśli ich wspólną dodatnią cechą charakterystyczną — jest niezwykła żywotność, to wspólną i ujemną, dotkliwie ujemną zresztą cechą, jest rozbieżność na różne inicjatywy, brak łączności, brak ośrodków centralizujących akcję i oszczędzających marnujące się w rozproszeniu siły. Sytuacja zresztą charakterystyczna nie tylko dla Francji. Wszędzie na świecie, gdzie powstają ośrodki społecznie postępowej myśli i działania katolickiego, żyją one w rozproszeniu. W płaszczyźnie narodowej, tak jak i międzynarodowej nie udało się jak dotąd dokonać elementarnej nawet synchronizacji wysiłków.

Do najważniejszych powojennych osiągnięć katolickiego obozu postępu — należy powstanie dwóch centralnych ośrodków badań społecznych — „Economie et Hummanisme” oraz „Jeunesse de l'Eglise”. Działalność ich jest tak mało znana polskim katolikom, że wymagają one pewnego omówienia.

„Economie et Hummanisme” jest dziś poważnym ośrodkiem badań społecznych stworzonym przez francuskich Dominikanów. Jest to rozwinięcie na poważniejszą skalę pracy prowadzonej przed wojną przez O. Lebreta, który założył wówczas w Bretanii ośrodek badań nad życiem i warunkami gospodarczymi ludności rybackiej. Dziś „Economie et Hummanisme” próbuje zmontować badania socjologiczne na skalę ogólną — francuską, które by nareszcie pozwoliły katolickim koncepcjom społecznym oprzeć się na realnej bazie naukowo zbadanych aktualnych procesów ekonomicznych i politycznych. Oto określone statutem cele prac tej instytucji:

a) zapoznać przy pomocy ankiet i innych właściwych metod badań rzeczywistości ludzką, ekonomiczną i społeczną we wszelkich współczesnych przejawach;

b) inicjować wśród członków i poza zespołem prace naukowe, zdolne do urzeczywistnienia ekonomicznej doktryny spiritualistycznej, porządkującej ekonomię w służbie człowieka.

c) kształcić w łonie różnych zawodów i w różnych ośrodkach gospodarczych jednostki zdolne do określania wymogów Wspólnego Dobra w danej dziedzinie i zdolną przeto do współuczestniczenia na płaszczyźnie życia publicznego w reorganizacji życia zgodnie z konkretnymi wytycznymi wypracowanymi.

„Economie et Hummanisme” nabiera więc charakteru wielkiego, na skalę co najmniej całej Francji, jeśli nie międzynarodową, instytutu badawczego, pragnącego się przyczynić do urealnienia chrześcijańskich postulatów społecznych. Swą metodą pracy przypomina to trochę pracę średniowiecznych zakonów, które swym intelektualnym i badawczym wysiłkiem torowały drogę technicznemu i ekonomicznemu osiągnięciom. Wydaje się jednak, że praktyczne osiągnięcia są jednak minimalne. Tak szeroko podjęte badania nie mogą być dziś dokonywane własnymi siłami grona ludzi dobrej woli. Dzisiejszy stan nauki wymaga aparatu i środków tak kosztownych, że tylko potężne materialnie jednostki mogą im podoleć. Na tym też odcinku nie rokujemy „Econo-

mie et Hummanisme” wielkich w najbliższym czasie osiągnięć. Nie mniej sam fakt posiadania inicjatywy intelektualnej w ręku pozwala na poważne osiągnięcia koncepcyjne. Tu jednak krzyżują się różnorodne tendencje, gdyż „Economie et Hummanisme” nie posiada z góry określonych ideologicznych założeń. Waha się między tradycyjnym solidaryzmem, a coraz to mocniej rysującą się koniecznością sprecyzowania po czyjej stronie staną w obliczu dwóch wyraźnie klasowych i przeciwstawnych tendencji świata współczesnego. Mimo tych wszystkich niepewności — osiągnięcia teoretyczne tego zespołu stanowią w ostateczności wkład na szalę ruchu postępowego — prace O. Lebreta o konkretyzowaniu pojęcia „Wspólne dobro”, zespół prac nad problemem własności, a zwłaszcza ostatnia praca O. Desroches o marksizmie — to wielki krok ku wyjaśnieniu społecznych nieporozumień od wieku gromadzących się wokół zagadnienia socjalizmu.

„JEUNESSE DE L'EGLISE”

W przeciwieństwie do „Economie et Hummanisme” — „Jeunesse de l'Eglise” („Młodość Kościoła”), jest ośrodkiem badań poświęconych wyłącznie zagadnieniom warunków rozwoju Kościoła katolickiego we współczesnym świecie. Ośrodek ten, kierowany również przez Dominikanina, O. Montuclard, znanego ze swych radykalnych i postępowych społecznie poglądów, nastawiony jest na pracę nad wyrównaniem zapóźnień tak organizacyjnych jak i intelektualnych, utrudniających katolickim kontakt z współczesną rzeczywistością. Zadaniem jego jest więc „studium warunków życia chrześcijan i Kościoła w świecie współczesnym i stałe śledzenie zachodzących tu zmian”. Badania „Jeunesse de l'Eglise” dotyczą dwóch zasadniczych dziedzin Kościoła, ze studiami nad wpływem przemian społecznych na życie Kościoła, oraz chrześcijaństwa, ze studiami nad wszelkimi możliwościami, które te przemiany otwierają realizacji świata chrześcijańskiego, czyli „porządku społecznego, który byłby docześnie, realizacją wymogów ducha chrześcijańskiego, uświadamiając sobie całą pełnię rozdziału między doczesnością i duchowością, co stanowi cechę charakterystyczną nowoczesnego społeczeństwa”.

„Jeunesse de l'Eglise” zachęca wszystkich do podjęcia i prowadzenia studiów w jednej z następujących sekcji: Studium o Kościele, z zadaniem zbliżenia tego pojęcia do współczesności; Studium o współczesnym chrześcijaństwie; Studium o wzajemnym stosunku czynnika duchowego i doczesnego; Studium psychologii wiary; Studium katolickiego działania; współczesnej parafii, liturgii i sakramentów, chrześcijańskiego wychowania, zagadnienia duchowieństwa, sztuki chrześcijańskiej. Jak widać z samego podziału — stanowi to szeroko zakrojony warsztat prac badawczych, zarówno dla świeckich jak i dla duchownych, z przewagą zresztą świeckich.

Redagowane przez zespół kierowniczy „Jeunesse de l'Eglise” wydawnictwo, rzuciło na rynek intelektualny prace o istotnie dużym ciężarze gatunkowym, jak wielką ankietę „Czy chrześcijaństwo osłabiło człowieka?”, czy rozprawy „Ewangelia uwieczniona”, „Ateizm wierzących”, „Kryzys cywilizacji chrześcijańskiej” lub „Współczesne perspek-

tywy chrześcijaństwa”. Są to wszystkie prace zbiorowe, stanowiące mocną reakcję przeciw mieszczańskiemu indywidualizmowi, tchnące dużą od wagą moralną i bezkompromisowym realizmem społecznym. Stanowią one mocną podstawę dla odrodzonych tendencji katolicyzmu francuskiego.

„Można by powiedzieć, pisze O. Desroches, porównując te dwa ośrodki koncepcyjne, że „Jeunesse de l'Eglise” reprezentuje raczej próbę socjologicznego zbadania struktur duchowych, podczas gdy „Economie et Hummanisme” stanowi próbę chrześcijańskiego zbadania struktur doczesnych. Tu bowiem wypracowują się, pod doktrynalnym wpływem myśli katolickiej, dane dotyczące dziedziny ekonomii, tam zaś, w zgodzie z wymogami pozytywnych badań, rozdziały socjologii religijnej. Inaczej mówiąc, przedmiotem prac i wysiłków w pierwszym wypadku jest chrześcijaństwo i poprzez nie dopiero Kościół, w drugim — Kościół a dopiero poprzez niego — chrześcijaństwo. Jest rzeczą skądinąd wiadomą, że zarówno warunki istnienia tak Kościoła jak i chrześcijaństwa są ściśle związane z dramatem cywilizacji i kultury współczesnej, w łonie których muszą budować swe nowe struktury”.

„Jeunesse de l'Eglise” i „Economie et Hummanisme” stanowią więc dwa centralne ośrodki koncepcyjno-badawcze, nadające ton współczesnej myśli postępowej katolickiej we Francji. Są one jednak jednocześnie same polem walki, na którym zderzają się wpływy różnych obozów, stąd w zależności od koniunktury — ich wkład pozytywny zwiększa się lub maleje.

„TEMOIGNAGE CHRETIEN”

Potężniejszym jednak ośrodkiem oddziaływania na opinię publiczną są postępowe ośrodki prasy katolickiej. Związane, rzecz prosta, w swym rozwoju ideowym, z wynikami pracy dwóch centralnych komórek badawczych — posiadają one jednak wielki zasób własnych koncepcji, bogaty wachlarz talentów, wielką ruchliwość i bliskość do problematyce.

Spośród bardzo licznej i różnorodnej prasy katolickiej francuskiej trzeba przede wszystkim wyodrębnić znaczną większość periodyków popularnych, nie posiadających stałej linii ideologicznej. Po prawej ręce natomiast należy ustawić te spośród wydawnictw poważniejszych, które, jak „France Catholique” są jawnym wyrazem programu konserwatywnego, czy też te, jak „La Croix”, czy „Etudes”, które są problematyką społeczną zweeksłowały na torze demagogicznego antykomunizmu. Na lewo znajdują się wydawnictwa Dominikanów — „Vie Intellectuelle” i „Vie Spirituelle”, które jednak ostatnio zatraciły swe dawne radykalne oblicze, lecz trzon postępowy stanowią tu wyraźnie — „Temoignage Chretien” i „Esprit”. Te ostatnie pozycje trzeba też scharakteryzować dokładniej.

„Temoignage Chretien” wystartował wspaniale swymi konspiracyjnymi zeszytami podczas ostatniej wojny. Jego bojowe hasła, stały kontakt z towarzyszami broni ze skrajnej lewicy — nadały mu ton przywódcy chrześcijańskiego ruchu społecznego postępu. Baczne śledzenie łam tego tygodnika w okresie powojennym odsłania nam jednak kryzysy, przez które ten zespół, nie zawsze zwycięsko przechodził.

Poważna część wojennych współpracowników wykruszyła się. Ostatnio z okazji różnicy zdań w stosunku do procesu Krawczenki, odszedł jeszcze jeden stary współpracownik Pierre Debray. Z drugiej strony — „T. C.” był już parokrotnie o krok od katastrofy finansowej. Redaktor Dubois-Dumée w głośnym cyklu artykułów „Zginąć — czy zgnieć”, odstąpił odważnie kulisy materialnego szantażu wielkich agencji amerykańskich, które za pomocą presji finansowej miały zmusić, w pierwszym rzędzie prasę katolicką, do bezwzględnego posłuchu. Jeśli na ogół „T. C.” wyszedł z tej walki zwycięsko, to jednak można było zanotować załamania, wystąpienia sprzeczne z linią pisma, jak np. entuzjazm w stosunku do Paktu Atlantyckiego, wbrew antyimperialistycznym tendencjom pisma, od czasu do czasu drukowane „rewelacje”, podejrzanego pochodzenia. Mimo tych załamania, mimo faktu, że w stosunku do wewnętrznej sytuacji francuskiej, a zwłaszcza w stosunku do M. R. P. — nie zawsze umiało się „Temoignage” zdobyć na bezkompromisowość, mimo ulegania czasem nagonce antykomunistycznej, opartej na demagogii i hysterii — pismo to jednak toruje nadal drogę uczciwemu myśleniu politycznemu i społecznemu. Wystąpienia przeciw polityce Mocha w okresie strajku górników, walka z militarystką i imperializmem, konsekwentna i bezkompromisowa postawa w stosunku do kolonializmu rysują sylwetkę ideową tego pisma. Mocne wystąpienia przeciw zbrodniom popełnionym przez karne ekspedycje w Vietnamie, ściągły ostatnio na „T. C.” ostre ataki ministra wojny Plevena z trybuny parlamentarnej — a nawet — zakaz kolportowania pisma w wojsku.

„ESPRIT”

„Esprit” pierwszy odstąpił przed oczyma Francuzów niebezpieczeństwo nowego faszyzmu, najbardziej przeciwstawia się demagogicznemu nagonkom, bezkompromisowo zerwał z dwuznacznościami społecznej postawy katolików. Grono jego współpracowników, reprezentujących najwybitniejsze młode umysły francuskie — jest istotnie zespołem moralnie niezależnym i społecznie postępowym. Jego cechą charakterystyczną jest dążenie do pełnej uczciwości myślenia, do osiągnięcia maksymalnego obiektywizmu. W atmosferze zakłamania w jakim pławi się większość burżuazyjnej opinii publicznej — jest to cecha nad wyraz pozytywna, choć grozi ona zawsze manowcami nadmiernego eklektyzmu. W istocie, wydaje się, że chęć przedstawienia wszystkich poglądów i udzielenie głosu na łamach pisma przedstawiłom różnych sprzecznych kierunków — czasami zaciemnia aż do nieporozumienia, właściwą linię zespołu.

Ostra polemika między „Etudes” i „Esprit” o ducha współczesnych dzieł, o tym czy komunizm należy czy nie do ducha współczesności była może najkonkretniejszym wyrazem zarówno zaawansowanych pozycji zajętych przez „Esprit”, jak i gwałtowności ataków, na jakie jest on narażony.

PROBLEM „PROGRESISTÓW” FRANCUSKICH

Jeśli „Temoignage Chretien”, czy „Esprit” stanowią niewyczerpane źródło rozpraw, obserwacji, sformułowań (dokończenie na str. 6-ej).

André Mandouze

Hum. Wanda Urstein

Chrześcijanin społecznie postępowy

Artykuł poniższy pióra współczesnego publicysty francuskiego André Mandouze, stanowi fragment większej całości. Daje on charakterystykę tak często spotykanego obecnie pojęcia „postępowego chrześcijanina”. Redakcja podaje te ciekawe rozważania podkreślając jednak, że z całokształtem twórczości ideologicznej, tego autora i reprezentowanego przez niego ruchu „Union des Chrétiens Progressistes” nie solidaryzuje się ze względów merytorycznych. Nie wdaję się tu w szczegółową dyskusję pragniemy podkreślić, że uznajemy słuszność rozumowania Mandouze'a tam gdzie określa cele społeczno-polityczne działalności chrześcijanina, uważamy natomiast, że progresiści francuscy zbyt płytko a przeto często fałszywie podbudowali te spostrzeżenia zarówno od strony filozofii chrześcijańskiej, jak i w dziedzinie praktycznych, programowych konsekwencji wykonawczych.

Redakcja

Przynależność do Kościoła wymaga jako koniecznego warunku prawdziwego uczestnictwa w życiu Kościoła i brania pełnego udziału w rozwoju jego Ciała Mistycznego. Pociąga to za sobą praktykowanie Sakramentów św., wcielanie w życie zasad moralności chrześcijańskiej, wysiłek pogłębiania swego życia wewnętrznego, współpracę w badaniach i pracach w dziedzinie duchowej i liturgicznej, itd.

W tym też znaczeniu społecznie postępowy chrześcijanin nie powinien nieczym się różnić od ogółu chrześcijan, gdyż nie jest on zwolniony z żadnego obowiązku, jakiemu oni podlegają. Nawet gdyby miał cierpieć nad uogólnianiem go z całością chrześcijan, których aktualna postawa w sprawach doczesnych razi go, nie miałby on żadnych podstaw do praktycznego usunięcia ich ze społeczności chrześcijańskiej lub wysunięcia się samemu poza jej nawias dla tych samych powodów. Niezrozumienie, z którym musiałby się spotkać na skutek zaangażowania się w życie polityczne, nie powinno nigdy upoważniać go do przyjęcia wobec Kościoła Pielgrzymującego postawy wyższości lub w stosunku do Kościoła Nauczającego poczucia niższości. Każdy chrześcijanin powołany do tego, by stał się „drugim Chrystusem” (Christianus alter Christus) powinien z całą pokorą i z największym wysiłkiem, do jakiego jest zdolny, dążyć do świętości, która według słów Dom Marmiona „jest tajemnicą łaski dawanej nam i przez nas otrzymywanej”.

Chrześcijanin, który dużą część swego życia poświęca pracy w dziedzinie polityki, powinien zawsze zdawać sobie sprawę ze specjalnych trudności, jakie mogą stanąć na jego drodze; powinien też szczególnie chronić się przed poślizgnięciami i pokusami, które mogłyby normalnie powstać podczas skrupulatnego wypełniania jego obowiązków politycznych. Powinien uważać bezustannie aby nacisk kładziony na postępowość nie wywołał u niego równoznacznego spadku jego wartości chrześcijańskich. Przeciwnie, powinien on dążyć do tego, aby zdając sobie ciągle jasno sprawę z poruszonych wyżej możliwości odchylenia swoich stanów duchowych, dawał przykład tym bardziej czystego postępowca im prawdziwsza stawała się będzie jego wiara. Należy tu podkreślić, iż jest to zupełnie

inna trudność niż ta wyrażona przez unowocześnioną wersję sławnej formuły, która mogłaby brzmieć: postępowy, gdyż chrześcijanin.

Tak więc postępowy chrześcijanin nie ma się stać reformatorem Kościoła, któremu przydawałby specjalnych odkryć zdobytych podczas swej aktualnej pracy, a które pozwoliłyby mu zająć w społeczności kościelnej jakieś specjalne miejsce lub upoważniłyby go do wprowadzenia zmian w Jego doktrynie. Jeżeli styczność z rzeczywistością polityczną, w sposób ostrzejszy niż to jest dostępne ogółowi chrześcijan, przekonuje go o konieczności oczyszczenia duchowego przez zwalczanie ukrytych lub nieświadomych nawet mistyfikacji życia doczesnego, posługiwać się on winien w pierwszym rzędzie swoim własnym doświadczeniem przeżytego dążenia do świętości.

Jeśli podkreśla on fakt, iż jest chrześcijaninem, nawet w czasie pracy dla społeczności, robi to dlatego, że nie widzi powodu ukrywania swego przekonania o prymacie pierwiastka duchowego w życiu człowieka, zamiast wskutek nieokreślonej gorliwości mowonawróconego lub też powodując się pomieszaniem pojęć czy nawet nieświadomą pokusą głosić politykę ureligijnioną. Jego przynależność do Kościoła nie ulega dla niego żadnej wątpliwości: jest ona faktem i to faktem najważniejszym. Jego chrześcijaństwo nie powinno być przymiotnikowe tak jak się np. mówi: chrześcijański robotnik, chrześcijański demokrat, czy chrześcijański mąż stanu. Jest on natomiast rzeczywistością chrześcijaninem - robotnikiem, chrześcijaninem - demokratą czy chrześcijaninem - mężem stanu. W tej mierze w jakiej stara się być „drugim Chrystusem” nie jest on komiwojażerem, który proponuje chrześcijaństwo jak towar na rynku, nie przynosi on Chrystusa jako dodatku, gdy kazał sobie otworzyć drzwi pod innym pretekstem. Usiłuje on po prostu, po cichu i pokornie, możliwie najmniej niedoskonale zająć postawę, jaką zająłby Chrystus gdyby żył w społeczności XX wieku.

II.

Pozostaje zagadnienie służenia dwóm panom i zręczne wprowadzenie pomiędzy słowo „chrześcijanin” i słowo „postępowy”, jakiegoś połączenia, które właściwie mogłoby być ich rozdzieleniem. Pomijam tu, jako nieistotne w dyskusji, zastrzeżenia głoszone przez pozornych chrześcijan, którzy mieszając całkowicie pojęcie chrześcijaństwa i cywilizacji zachodniej zakładają, że samo pojęcie chrześcijaństwa wyklucza z góry jakikolwiek postęp w każdej rzeczywistości. Chcę tu podkreślić, że taki integrizm pomimo ciągłych prób odradzania się jest pojęciem skazanym na zagładę, nawet jeśli skrywa się pod maską klerykalną.

Jest rzeczą oczywistą, że nielawo jest chrześcijaninowi postępowemu przewyciężyć zastrzeżenia integrizmu i nie pogrzyżać się w niemniej niebezpieczny modernizm. To co stwierdziłem o naszej łączności z Kościołem, z góry już zawiera odpowiedź na zastrzeżenia jakie by nam chciano postawić. Ale to nie wystarcza. Zarzut najważniejszy nie jest stawiany przez polityków lub dogmatyków. Stawiają go

raczej teologowie moralności, lub ogólnej mówiąc, moralisci, którzy podchodząc do tego zagadnienia ponownie „de officio” lubują się w badaniu konfliktów pomiędzy obowiązkami, a w dziedzinie życia politycznego, którego nie znają bo nie mają w nim żadnego doświadczenia, wysuwają zawsze argument moralności indywidualnej ze szkoda imperatywu zbiorowego. Powinniśmy wszyscy rozumieć dzisiaj, że klerykalizm *) grozi teologii moralnej dużo bardziej niż jakiegokolwiek innej czysto zewnętrznej dziedzinie, w której wygrywa się sympatie lub antypatie dla sutanny. W tym sensie można śmiało powiedzieć że najważniejszą rzeczą do przeprowadzenia w dziedzinie moralności politycznej jest przejście z koncepcji klerykalnej na koncepcję chrześcijańską.

Nie przesadzając z góry wyników takiego początkowego wysiłku wydaje się rzeczą zasadniczą, że należy uniknąć konfliktu między tymi dwoma pojęciami (chrześcijanin i postępowy — przyp. tłum.), które jako sobie nieprzeciwstawne nie powinny powodować ani wahań ani wewnętrznych rozdarć, chyba tylko w wypadku sumień jeszcze nieuświadomionych i nie pojmujących prawdziwej hierarchii wartości pierwiastka duchowego i doczesnego. Przyznaję, że jest to ostatecznie problem każdego z nas i że w układzie, w którym jednostka jest pewnego rodzaju terenem geometrycznym i psychicznym jednoczesnego działania dwóch porządków, zawsze zdarza się okres kiedy organizacja taka nie jest jeszcze zrealizowana, względnie nie jest jeszcze doskonała w tym czy innym szczególe. Czy należy przez to twierdzić, jak to czyni mój znajomy duchowny, że na skutek swojej wewnętrznej postawy chrześcijanin musi zawsze na arenie społecznej w ogóle, a w dziedzinie polityki w szczególności, tracić w zestawieniu z nie-chrześcijańcem tak bardzo, że w rezultacie może być tylko bardzo marnym obywatelem? Gdyby tak rzeczywiście było, to obywatele nie-chrześcijańskie mieliby wszelkie podstawy do zwalczania wszystkimi dostępnymi im środkami obywateli chrześcijan, a przez nich chrześcijaństwo jako takie.

Przeciwnie, wydaje mi się, że nawet jeśli jakaś decyzja o charakterze politycznym jest często dla chrześcijanina dużo trudniejsza niż dla kogo innego, to chrześcijanin, który decyduje raz powziął ma szereg dodatkowych powodów dla stania się dobrym obywatelem. Z tego punktu widzenia jego problemem zasadniczym będzie problem praktyczny i jeśli chrześcijanin zdecydował się lub za późno, to nie dlatego, że jest on chrześcijaninem, ale wyłącznie dlatego, że nie jest chrześcijaninem dosyć pełnym. Krótko mówiąc dlatego, że jego chrześcijaństwo jest jeszcze niedość okrzepłe. W każdym razie i to jest pewne, nie można a priori przewidzieć dlaczego chrześcijanin miałby ze względów moralnych być mniej postępowy niż nie-chrześcijańcin. Jeśli do tej pory rzeczywiście wypadki

*) Przez „klerykalizm” autor rozumie tu nie niewłaściwy stosunek do kompetencji duchowieństwa, lecz fałszywe teologizowanie tych zagadnień, które winny być rozpatrywane pod kątem widzenia zasad chrześcijańskich w ogóle, a nie abstrakcyjnego doktrynerstwa.

takie się zdarzały, to działo się to na skutek niedoskonałości danego człowieka, a nie chrześcijaństwa samego, które właśnie przez swoje dążenie do sprawiedliwości i miłości, poprzez obronę uciśnionych a potępienie hipokrytów winno dodać mu sił dla wypracowania na arenie życia politycznego, za pomocą metod kategorycznych, najbardziej pełnego osiągnięcia najtrudniejszych celów.

To jednak wymagałoby stwierdzenia i przestudiowania dialektyki zachodzącej nieuniknienie pomiędzy pojęciami nadrzędności czynnika duchowego i pierwszeństwa czynnika doczesnego. Św. Augustyn przepowiadał naczyńia kościelne aby nakarmić biednych, św. Wincenty poświęcał się nieustannie by nędza nie uniemożliwiła ludziom zastanowienia się nad istnieniem dziedziny pozadoczesnej, wielu innych najprawdziwszych świętych dawało swoim życiem ciągły przykład nie tylko możliwości ale nawet konieczności współistnienia nadrzędności czynnika duchowego i pierwszeństwa doczesności.

Chrześcijanin, który by tego nie rozumiał, musiałby być zupełnie bierny i konserwatywny w najbardziej absurdalnym tego słowa znaczeniu. Wprowadzając bowiem nieustannie w życie prymat spraw ducha musiałby z konieczności „spóźniać się” ze swoimi wszystkimi czynnościami doczesnymi na korzyść obywatela jakby uprzywilejowanego faktem, że nie jest chrześcijaninem. Tymczasem chrześcijanin zobowiązany do oceniania wagi swojego postępowania winien odczuwać faktycznie, jeśli nawet nie formalnie, pewien mus wewnętrzny, który powinien go predysponować do żywej aktywności doczesnej w służbie bezkompromisowości w sferze ducha. Inaczej mówiąc powinien on być predysponowany do postępowości politycznej przez swoją postępowość moralną.

Termin chrześcijanin postępowy jest właśnie wyrażeniem, które określa jednostkę, w której jednocześnie rozwijają się dwa wyraźnie odrębne a przecież zązębiające się w niej plany postępowania. Łatwo zrozumieć oczywiście dlaczego nalegamy, aby w wyrażeniu tym chrześcijanin stanowił rzeczownik, a postępowy przymiotnik.

*

**

Wniosek nasz będzie bezpretensjonalny ale jasny. Katolik postę-

André Mandouze

Do wszystkich naszych Czytelników zwracamy się z apelem, aby stali się naszymi prenumeratorem

bowiem

PODSTAWĄ BYTU PISMA

| 1981

PRENUMERATA

Konto PKO I-727 Warszawa

Administracja „Dziś i Jutro“
Warszawa, ul. Mokotowska 43

Alfred Gawroński

ZNACZENIE EGZYSTENCJALIZMU

Artykuł A. Gawrońskiego ukazuje tylko pewien bynajmniej nie jedyny aspekt złożonego zagadnienia egzystencjalizmu. Dlatego wydaje się koniecznym stwierdzenie, że egzystencjalizm pozostał nieodrębnym synem cywilizacji mieszczańskiej mimo, że zrodził się w konsekwencji buntu przeciwko niej. W świetle chociażby ostatnich wypowiedzi Sartre'a oczywista staje się rola jaką egzystencjalizm ma odegrać w planach amerykańskich tendencji imperialistycznych. Czas najwyższy, abyśmy mówiąc o egzystencjalizmie, potrafili go właściwie oceniać także w kategoriach politycznych. Redakcja.

„Przyswoiłem sobie negatywność (tłum. z franc. negativite — oznacza w tym wypadku postawę człowieka, który gotów jest demaskować fałsz, lecz nie stać go na konstruktywny stosunek do rzeczywistości), swojego czasu, która jest mi zresztą bardzo bliska, nie mam prawa jej zwalczać lecz mam prawo w pewnej mierze reprezentować ją“ — tak wyraził się kiedyś Kierkegaard, ojciec egzystencjalizmu, streszczając w jednym zdaniu nie tylko własną postawę lecz także istotne znaczenie egzystencjalizmu w bieżącym momencie historycznym.¹⁾

Rozwijając się w świecie, w którym bezpłodna retoryka spirytualizmu mieszczańskiego sprowadziła do konwencji najwyższe wartości ludzkie, egzystencjalizm wyraża stan człowieka buntującego się przeciwko automatyzmowi odruchów moralnych i duchowych swojego świata, wyraża protest jednostki, która wprawdzie obala formy afirmowane przez społeczeństwo, lecz nie jest w stanie nie na ich gruzach odtworzyć. Znamienny krzyk rozpaczliwych wyłaniających się ze świata, który powszechnie kulturuje swój powierzchowny optymizm w różnego rodzaju kołysankach na wszystkich poziomach życia intelektualnego, od filmów Hollywoodu i politycznych sloganów liberalizmu zaczynając, a na estetyzmie sztuki, idealizmie i absenteistycznym racjonalizmie w filozofii i w życiu kończąc. Tragiczny sprzeciw wobec postaw kryjących świadomą lub nieświadomą ucieczkę inteligencji przed odpowiedzialnym spojrzeniem w oczy rzeczywistości. Na tym tle egzystencjalizm stanowi bunt w którym się objawia cały dramat człowieka obciążonego konstytucyjnymi wadami burżuazyjnego środowiska lecz od tego środowiska różniące się tym, że nie potrafi on już brać za autentyczne, tego, co jest tylko zewnętrzną formą. Egzystencjalizm sprzyja w ten sposób pewnemu uświadomieniu wewnętrznego kryzysu.

Zawrót głowy, któremu podlega jednostka patrząc w swoją pustkę, jest niezbędną kuracją dla człowieka pewnego siebie, negującego własny kryzys, kurczowo trzymającego się swoich pewników. Wszystko bowiem to co stanowiło kiedyś wartości, ideały i cele starego świata straciło dziś już znaczenie obiektywnego przedmiotu wiary, w którym realizuje się wspólna treść życiowa i obcowanie z innymi. Kiedy wiara w życiu społeczeństwa była aktywna, podporządkowanie ciała duchowi miało funkcję, która tkwiła w samym przedmiocie wiary ale wraz

¹⁾ Dla uniknięcia nieporozumień warto tu zaznaczyć, że egzystencjalizm rozważany jest w ramach niniejszego artykułu ogólnie tylko, bez wchodzenia w różnice szczegółowe sprzecznych odmian tego zjawiska.

ze stopniowym przechodzeniem wiary ze stanu aktywności do stanu bierności, podporządkowanie to staje się negatywne, traci swój charakter religijny i sprowadza się najpierw tylko do moralności, a później tylko do konwencji społecznej. W konsekwencji sprowadzenia całej rzeczywistości do podmiotu zmniejsza się znaczenie przedmiotu wiary i pozostaje tylko potrzeba wiary stanowiącej akt subiektywny jednostki. W tym stanie rzeczy przed człowiekiem wychowany w kręgu cywilizacji mieszczańskiej jaki się konieczność wyboru jednej z dwu doświadczeń dla niego podstaw: albo współżyć z takim społeczeństwem, które straciło swoją rację bytu i akceptować konwencję jako autentyczną rzeczywistość; albo w negatywno-krytycznym stosunku do rzeczywistości stracić wszelką nadzieję w możliwości znalezienia wspólnego obiektu i możliwość nawiązania konkretnego stosunku z innymi. Oznacza to skazanie się na nieskończoną pustkę jednostki zamkniętej w samej sobie. Trzeciej postawy, postawy pozytywno - rewolucyjnej w jakiej tylko mógłby się konkretnie wyrazić przedmiot wiary nie może dostrzec człowiek, który ze swojego środowiska przejął negatywne ustosunkowanie się do rzeczywistości. Egzystencjalizm jest właśnie wyrazem dramatu człowieka, rozerwanego między potrzebą wyjścia z odosobnienia i nawiązania konkretnego stosunku z innymi, a potrzebą autentyczności własnych czynów. Tym odważnym poznaniem stanu człowieka takiego jakim on jest w dzisiejszym świecie zachodnio-europejskim i w niepoddaniu się pokusie ucieczki w estetyzm lub w przeszłość historyczną wyróżnia się prąd ów in plus w porównaniu z innymi współczesnymi mu kierunkami filozofii i literatury mieszczańskiej.

PROCES SUBIEKTYWIZACJI I ROZBICIA

Centralnym tematem współczesnej literatury europejskiej wywodzącej się z egzystencjalizmu jest dramat odosobnienia jednostki w dzisiejszym świecie zachodnio-europejskim, izolacji nie tylko wobec innych ludzi, lecz wobec każdej normy obiektywnej, wobec świata zewnętrznego. Literatura autobiograficzna, która w okresie Odrodzenia była jeszcze relacją o faktach i przedsięwzięciach, rozwinęła się powoli w formę wyznania. Dwa kamienie milowe na tej drodze to Montaigne i Rousseau. Forma ta wyraża poszukiwanie świata wewnętrznego coraz bardziej wyrafinowane i odcieleśnione aż do zamknięcia jaźni w ramach wyobraźni własnej. Norma obiektywna jest stopniowo wypierana przez życie wspomnień i marzeń, rzeczywistość traci swoją konkretność i zwartość. W czasach dzisiejszych literatura ta przybrała formę pamiętnika (Kierkegaard, Kafka, Gabriel Marcel, Gide, Julien Green) w którym zamiast istotnych wydarzeń szczegółowo notowane są subtelne stany uczuciowe. Równocześnie z dojściem formy pamiętnika do rangi rodzaju literackiego, typowa powieść zachodnio-europejska przybiera charakter w formie i treści coraz bardziej pamiętnikarski, gdyż najłepiej nadaje się on do wyrażenia subiektywnego przeżywania rzeczywistości, do skupienia się na samym sobie, na wewnętrznym stanie własnego ducha.

Lecz pojmowanie „ducha“ też zmieniło się z biegiem czasu swoje znaczenie. W średniowieczu, kiedy wszystko łączyło się w istocie wiary w Boga, w wartościach, które przewyższały wartość jednostki wziętej samej w sobie, życie duchowe nie ograniczało się do chwili i subiektywnego ujęcia jednostki lecz dążyło do swojego celu zawsze w przyszłości, która nadawała teraźniejszości właściwy sens. Życie ducha było pojmowane z punktu widzenia celu ostatecznego i obiektywnego, a pojęcie ducha utożsamiało się z wiarą w duszę nieśmiertelną. Duch był istotą realną, której funkcja była obiektywnie stwierdzona przez wiarę.

Dziś, jak to się jaskrawie uwydatnia w literaturze zachodnio-europejskiej, słowo „duch“ oznacza całkowicie subiektywny akt doznania, wskutek czego rzeczywistość, otaczająca tego, który doznaje, jest niczym innym jak odbiciem jego uczuć. Jakże typowe jest zdanie Amiel'a w słynnym „Journal Intime“ kiedy konstatuje, że „krajobraz jest stanem uczuciowym“. Takie pojmowanie rzeczywistości jest wynikiem największej subiektywizacji połączonej z największym odosobnieniem. Rilke, Proust, Kierkegaard, Kafka, Nietzsche, Sartre oraz wielu innych pisarzy i poetów XIX i XX wieku wyrażają wiernie stan człowieka prowadzący w swych ostatecznych konsekwencjach ku temu, co powszechnie nazywamy kryzysem cywilizacji mieszczańskiej, kryzysem pewnej formy humanizmu, najtrafniej dającej się określić teologicznym terminem „humanizmu antropocentrycznego“. Filozofowie reprezentujący różne kierunki jak Huizinga, Ortega y Gasset, Jaspers Mounier, Valery, historycy i poeci przeprowadzili analizę tego procesu tak, że możemy dziś mówić nie tylko o kryzysie cywilizacji starego świata, lecz także o narastającej świadomości kryzysu.

Korzeni jego możemy szukać głęboko w historii. Bliżej i konkretniej widzimy je w romantyzmie. Chronologicznie biorąc egzystencjalizm jest najdalej posuniętym procesem rozpatrywanego rozkładu, kontynuując dzieło rozpoczęte przez ruchy intelektualne z XIX wieku. Pisarze oraz poeci romantyzmu i postromantyzmu jako intelektualiści najbardziej czuli na zmiany historii, ujawnili stan kryzysu poprzez kryzys własny, kryzys inteligenta. Ich polemiki ciągnące się przez cały wiek XIX, ich bunt przeciwko konwencjonalizmowi klas rządzących, ich odosobnienie się od społeczeństwa to sygnały tego kryzysu czasem może naiwne, ale jakże symptomatyczne.

Jeśli spojrzymy na literaturę zachodnio-europejską XIX wieku zauważymy, że powstał w niej nowy motyw: ucieczka od Europy i od cywilizacji. Czasami była to ucieczka tylko w wyobraźni do światów prymitywnych, do krajów dalekiego wschodu, do cywilizacji zanikłych. Flaubert po przeżyciu dramatu obrzydzenia do swojego świata, któremu dał wyraz w postaci Emmy Bovary szuka uwolnienia w „Salambo“ i później w „Pokusie św. Antoniego“.

Obok tych literackich ucieczek — w krainie fantazji mamy liczne przykłady ucieczek realnych: Gauguin i Van Gogh opuszczają Europę szukając na wyspach mórz południowych nowej tematyki malar-

skiej; w te same strony udaje się Stevenson.

Z motywem ucieczki ściśle łączy się motyw odosobnienia, który do minuje w dziełach Leopardiego lub motyw wiecznego wygnania, na które skazani są rzekomo wszyscy ludzie (Beaudelaire).

Inny jeszcze poeta przeżył i wyraził podobne motywy w sposób naprawdę wyjątkowy: Rimbaud, który wyrzekł się definitywnie poezji i opuścił Europę, aby — zrywając z postawą intelektualisty — próbować coraz to nowych zajęć praktycznych.

Przez tę nagłą i zdawałoby się niewytłumaczalną zmianę życia wypowiedział Rimbaud z siłą dramatyczną stan kryzysu, demaskując kryzys inteligenta. W pewnym momencie swego życia zdecydował się przestać być tym, kim był aż do tej pory, po to aby stać się kimś innym i wyjść z sytuacji, która zmuszała do złudnego poszukiwania treści życiowej w abstrakcji. Rimbaud być może był jedynym wybitnym przedstawicielem kultury dziewiętnastego wieku, który zdobył pełną świadomość niewystarczalności bycia tylko inteligentem. Postępując konsekwentnie porzucił pewien wymiar życia, skazując go na odosobnienie, i szukał tego wymiaru, w jakim możliwe byłoby nawiązanie prawdziwego kontaktu z rzeczywistością.

Świadomość beznadziejnego osamotnienia jaką miał Rimbaud, dobitnie przedstawia sytuację inteligencji Europy Zachodniej, przedstawia ów stan rozbitcia cechującego rzeczywistość współczes-

Bój o „Katolicyzm społeczny“

(dokończenie ze str. 4-ej)

łowań nie tylko niezbędnych przy poznaniu chrześcijańskiej postępowej myśli na zachodzie, lecz i dla jej rozwoju powszechnego, to jednak oba te ośrodki cechuje ta sama merytoryczna wada: ograniczają się one do zajmowania stanowiska wyłącznie intelektualnie. Wszelkie próby, czynione niewątpliwie przez te zespoły, przeniesienia swych poglądów z teorii w praktykę — zawiodą.

Reakcją przeciw temu stanowi rzeczy było powstanie „Union des Chretiens Progressistes“, stanowiąca organizację o charakterze półpolitycznym, o ambicjach konkretnego oddziaływania na rzeczywistość francuską. Powstała z grona młodych katolików, uczestników Ruchu Oporu, o poglądach zdeklarowanie postępowych, ulegających mocno sugestiom politycznym i społecznym komunistów — jest wyrazem zrywu społecznego w warunkach nie małych beznadziejnych. Paru ludzi z talentem, indywidualnością i energią: Denis, Mandouze, Moirou, Verlhac — postawiło sobie ambitny plan rzucenia postępowych tendencji katolików w wir aktualnej walki politycznej. Wbrew wszelkim insynuacjom trzeba stwierdzić absolutną uczciwość zamiarów i niekłamane chrześcijańską postawę tej grupy. Trzeba jednak stwierdzić, że w obliczu „Temoignage Chretien“ czy „Espirit“ — osiągnięcia ideowe tej grupy pozostają zbyt małe, sformułowania programowe i światopoglądowe zbyt powierzchowne. Toteż działalność U. C. P., skoncentrowana wokół nikłej kadry organizacyjnej i nieregularnego periodyku „Positions“ — pozostaje właściwie ograniczona do odcinka politycznego. Walka o pokój przeciwstawianie się

na mieszczańskiego świata.

Popatrzmy na grecki świat starożytny: dom i stadion, świątynie i politykę arcydzieła sztuki plastycznej, arcydzieła poezji i tragedii łączy człowiek grecki w harmonijnym stosunku rzeczy i myśli, dla którego coś więcej niż symbol stanowi ów jednolity organizm, ja kim jest rzeczywistość miasta-państwa greckiego.

Podobnie człowiek średniowiecza jednoczy wszystko w istocie swojej wiary religijnej: poezja Dantego jest filozofią św. Tomasza, freski Giotto są misją i panowanie Kościoła.

Od czasów Renesansu nauka, sztuka, literatura, wiara, moralność, polityka, uniezależniają i wyodrębniają się jako dziedziny autonomiczne. Każda z nich głosi swoją oryginalność, wypracowuje swoje własne metody rozwojowe, łamiąc wszelkie związki z innymi i uważając się za jedyną miarę rzeczywistości. Każda z tych dziedzin wewnętrznie jeszcze dzieli się i różniczkuje. Rzeczywistość nie daje się wtedy sprowadzić do jakiegos wspólnego mianownika.

Bunt intelektualistów w XIX wieku na Zachodzie Europy, ich odgradzanie się od społeczeństwa, to reakcja jeszcze czysto negatywna, niemniej wiodąca ku uświadomieniu tego odosobnienia. Czuli oni, że rozwijający się proces rozbitcia tworzył warunki, w których odosobnienie było nieuchronne, podobnie jak odosobnienie wszystkich innych ludzi, tworzył warunki w których ich dzieła, ich słowa mogły stać się tylko martwym orzędem.

próbę podziału świata na dwa bloki, walka z tendencjami faszystowskimi, walka z imperializmem, przełamywanie psychozy anty-komunistycznej, fałszującej oblicze moralne katolików — oto główne cele ich działalności. Atakowani ostro przez całą prasę pravicową, otoczeni najwyżej wstrzemięźliwą przyjaźnią pokrewnych zespołów ideologicznych, obawiających się ewentualnych błędów doktrynalnych „Progressistów“ — bronią się oni w istocie na bardzo trudnych pozycjach. Jednak w momencie, gdy wydawało się, że nagonka reakcyjna istotnie wypchnie ten ruch poza nawias obozu katolickiego — kolejno karynał Suhard i biskup Ancel (znany ze swych postępowych poglądów), w rzeczowych wypowiedziach, ostrzegając „Progressistów“ przed niebezpieczeństwem błędów doktrynalnych — nie mniej jasno i niedwuznacznie podkreślali ich prawo moralne do uważania się za część obozu katolickiego, a jednocześnie prowadzenia działalności politycznej nawet najbardziej radykalnie postępowej.

Przy całej słabości ideologicznej — Ruch Progressistów ma dla społecznego odrodzenia się katolicyzmu francuskiego znaczenie pierwszorzędne. Jeśli bowiem zdoła nabrać konkretniejszej treści ideowej, stworzy wspólną płaszczyznę intelektualną z ośrodkami koncepcyjnymi i publicystycznymi — może im nadać niezbędny dynamizm działania.

Wówczas, dziejącą się we Francji chrześcijańska rewolucja spirytualna rozwine się w płaszczyźnie społecznej tak samo dogłębnie, jak rozwija się dziś w płaszczyźnie apostołatu misyjnego.

Wojciech Kętrzyński

Od czasów Humanizmu a zwłaszcza od czasów Galileusza i Kartezjusza być intelektualistą znaczyło mieć pozycję uprzywilejowaną, intelektualista bowiem swoją pracą ustalał kształt kultury i nowej cywilizacji. Lecz z czasem wraz ze stopniowym rozwojem procesu rozbicia, intelektualista tracił swój kontakt ze światem rzeczywistości innej niż własne życie we wnętrzu i doszło do tego, że kultura stała się coraz bardziej intelektualistyczna, że stała się jej zyskiem tylko dla uprzywilejowanych „Jasnym jest — pisze Ortega y Gasset w essayu pt. „Intelektualista i inny” — że każda kultura tworzona jest przez nowe idee i myśli, lecz myśli te muszą być przede wszystkim myślami o rzeczach, o uczuciach, o normach, o przedsięwzięciach, o bogach. Nie ma żadnej potrzeby, aby były to myśli o myślach”.

KRYZYS WARTOŚCI

Jest rzeczą bardzo charakterystyczną, że właśnie intelektualisci, te wskaźniki najbardziej czułe na trudności przeżywane przez społeczeństwo, na przykładzie własnego kryzysu ujawniali nie tylko sytuację inteligenta lecz sytuację całej naszej cywilizacji. Od czasów Romantyzmu objawy tego kryzysu stają się coraz widoczniejsze. Z twierdzenia o zupełnej wolności, nieskończoności i twórczości samowystarczalnemu duchu zrodził się subiektywizm i przyczyną odosobnienia jednostki, a zarazem skrytykowała się świadomość tego odosobnienia, która łączy się z rozpaczą i problematyką intelektualistyczną, z zapamiętaniem się w sobie i z kwestionowaniem całej rzeczywistości. Egzystencjalizm, nawiązując do tych tradycji jest przede wszystkim aktem oskarżenia przeciwko społeczeństwu kapitalistycznemu, które przemieniło stosunki międzyludzkie i wiarę — w martwą konwencję, a które równocześnie domaga się aby była ona akceptowana jako autentyczna, żywa rzeczywistość. Egzystencjalizm jest oskarżeniem konformizmu i wiary w wartości które nie już w rzeczywistości nie przedstawiają. Wo bec zagadnienia wiary egzystencjalizm ma postawę skrajnie subiektywną lub wręcz negatywną, lecz to co na ogół jest mechanicznym powtarzaniem pewnych aktów i przekonani stają się w egzystencjalizmie zagadnieniem dramatyki przeżywanym choć do tej pory i w ogóle chyba dla egzystencjalizmu nierozwiązalnym.

Wiara, społeczność, małżeństwo to różne aspekty tego samego kryzysu, który zmusza do samotności, szczególnie ludzi świadomych. Od czuwają oni, że nie mogą obcować ze społeczeństwem, którego podstawowe instytucje są wewnętrznie zepsute, którego cywilizacja w gruncie rzeczy, nie wierzy we własne siły. Postawa egzystencjalizmu, najbardziej znamiennego prądu kulturalnego zachodu, wyraża krańcowo negatywny stosunek wobec rzeczywistości, do jakiego dojść może jednostka gdy zanika przedmiot wiary i staje się konwencją: otwarcie wskazuje na kryzys, neguje zdrowie społeczeństwa, jego optymizm i jego pewność siebie, lecz nie szuka wyjścia z impasu; brak mu siły rewolucyjnej, zdrowego tchu odrodzenia. Egzystencjalista chce w sposób negatywny odróżnić się od społeczeństwa zakłamanego, pozorującego zdrowie. Przez głoszenie wartości jego choroby manifestuje swoją wobec społeczeństwa niezależność i pogardę. Akceptując i głosząc wartość choroby szuka on wyjścia z fałszywej pozycji, w

którą ją spycha formalizm środowiska. Taka postawa jest bezna dziejna. Wie on, że w konsekwencji uznania wartości choroby przeciwko pozorom zdrowia jest na zawsze potępiony, zamknięty w swoim odosobnieniu. Egzystencjalisci uważają się za ludzi zdeteminowanych nie jako jednostki, lecz jako uczestnicy pewnego momentu historycznego, przeciwko któremu nie potrafią reagować. Ich literatura pokazuje nam człowieka zamkniętego w swoim rozpaczliwym życiu wewnętrznym, w atmosferze rozrzedzonej, gdzie brak poczucia jakiejś normy obiektywnej, bez której człowiek jest panem nad własną pustynią. „To nie brak woli lub nieumiejętność powodują moje niepowodzenie lub powodzenie we wszystkim: w życiu, w rodzinie, w przyjaźni, w małżeństwie, w zawodzie, w literaturze, lecz jest to brak gruntu, brak powietrza, brak P r a w a. Stworzyć sobie te rzeczy jest moim najwyższym zadaniem”. Tak pisał Kafka w swoim pamiętniku pod koniec życia. Widać stąd, że był on świadomy ograniczenia, w jakim się znalazł wskutek kryzysu normy obiektywnej. Kafka nie był wyjątkiem; większość pisarzy egzystencjalistycznych głęboko od czuwa potrzebę odrodzenia, przeobrażenia wartości, lecz ich droga do tego polega przede wszystkim na demaskowaniu fałszu konwencji. Wszystko to, co dotyczy człowieka, rozwija się przez kryzys i czasem negacja musi być całkowita, aby jaśniejsze było odrodzenie. Przekonani, że w historii podobnie jak w życiu, aby się odrodzić trzeba aż do końca wyczerpać możliwości zawarte w momencie negatywnym; uważają oni, że jeśli świat w którym żyją jest światem jednostki, która coraz bardziej zamyka się w sobie, to koniecznym jest osiągnięcie najwyższego stopnia subiektywizmu.

„Kariera” egzystencjalizmu jest współczesną powstaniem psychoanalizy, która sygnalizuje chorobę wiary, nie znajdującą w rzeczywistości swojego konkretnego obiektu. Psychoanaliza jest możliwa wtedy, kiedy wiara w życie człowieka straciła swoje twórcze znaczenie; kiedy na miejsce wiary aktywnej i działającej weszła konwencja. Aktywna wiara nie tylko hamuje namiętności ludzkie, lecz je likwiduje doszczętnie w wolnej i autentycznej ofierze przedmiotu wiary. Lecz gdy wiara staje się bierna spotykamy ten objaw stłumienia, który odkryła psychoanaliza i materiał psychiczny gromadzi się w podświadomości, fałszując i wypaczając nasze życie świadome. To co Freud nazwał „zasadą rzeczywistości” jest może najbardziej typowym objawem życia psychicznego człowieka cywilizacji mieszczańskiej. Człowiek ów, schorzał spadkobierca idealizmu i romantyzmu, rozwiniął możliwość redukcji rzeczywistości zewnętrznej i kompensowania jej w ucieczkach wewnętrznych.

Tak egzystencjalizm jak i psychoanaliza przedstawiają pewien moment negatywny, w którym jednostka zamyka się w sobie usiłując nabrać pełnej świadomości choroby, przed którą nie może uciec: choroba ta stała się jedynym faktem obiektywnym całkowicie uznanym.

W dostrzeżonym przez siebie kryzysie wartości egzystencjalizm akcentuje przede wszystkim pozytywne czy negatywne zagadnienie wiary. Stąd zależnie od stosunku do tego zagadnienia możemy podzielić pisarzy egzystencjalistycznych na dwie zasadnicze grupy z których pierwsza (Kirkegaard, Kafka, Gabriel Marcel) nawiązuje

do Pascala, a druga (Sartre, Camus, Heidegger) do Nietschego.

POSTAĆ NIEDORZECZNA I JEJ ZNACZENIE

„Zawsze byłem przejęty tylko ochroną mojego istnienia duchowego — pisze Kirkegaard — gdyż wszystko inne było mi obojętne.” „Obojętność ta była jedynym sposobem uchronienia się przed poczuciem winy i udręczenia”. „Wszystko inne” nie jest tylko czymś obojętnym, lecz czymś wrogim. Wyrzekając się każdego przedmiotu poza samym sobą, powierając się tylko literaturze, słowu, egzystencjalizm poddaje się temu, co byśmy mogli nazwać „iluzją estetyczną” w świecie współczesnym, poddaje się wierze w możliwość „przywoływania” rzeczywistości za pomocą sztuki, czy słowa. Słowo miało by jakąś magiczną funkcję wywoływania tego, co jest stracone na zawsze. W tym sensie możemy powiedzieć, że osoby literatury egzystencjalistycznej są magiczne; przechodzą od jednej klęski do drugiej w poszukiwaniu słowa „autentycznego”, które by im objawiło istotę rzeczywistości.

Z powodu tej funkcji, którą przypisują słowu, dzieła i samo życie egzystencjalistów (nie chodzi mi o głupią modę oryginalności wprowadzoną we Francję przez Sartre’a, która jest wręcz przeciwna duchowi innych twórców egzystencjalistycznych, nie skłonnych do jakiegokolwiek form ekshibicjonizmu) wydaje się czasamiorealne. Walczą oni z chorobą moralną, jak i fizyczną, szukając uzasadnienia dla życia ciała i dla życia ducha, które w ich świecie nie mają z sobą styczności.

W ich wysiłku uwolnienia się od tej choroby i usprawiedliwienia własnego istnienia są oni postaciami naszego czasu, lecz równocześnie znajdują się poza naszym czasem, co czyni z nich postaci enigmatyczne i niedorzeczne. Podczas, gdy większość ludzi zadowala się konwencją, postać niedorzeczna chce, opierając się na ścisłości, choć nie zawsze świadomej, logice, dojść aż do końca w pewnym doświadczeniu, i płacąc za winy innych zniszczyć wszelką konwencję. Gorzej dla niej, jeśli co jest nieumieknione, nie po za nią nie znajdzie; lecz przynajmniej, choć tylko negatywnie, — dojdzie do świadomości. Tak czyniąc przekracza ona ustalone normy życia społecznego i inni odwrócić się od niej, gdyż jej mowa nie może być już przez innych zrozumiana.

Postacią niedorzeczną jest ten, który stara się działać naturalnie w społeczeństwie, żyjącym konwencją. Absurd w postaci literatury egzystencjalistycznej jest ich jedyną rzeczywistością, ich treścią i prawem do istnienia. Gdyby Don Kichot ograniczył się do czytania książek o rycerstwie, nie stałby się nigdy „postacią”. Lecz staje się nią, kiedy odrzuca fakt dla niego przykry, że świat rycerstwa już nie istnieje; kiedy działa jakby świat ten jeszcze istniał, czyniąc się rycerzem i zwalczając nieistniejące smoki dla chwały nieistniejącej damy. W stosunku do samego siebie działaniem jego jest naturalne; w stosunku do świata w którym żyje, absurdalne.

Absurd ma w literaturze runkcje ściśle określone; oznacza on, że przedmiot, świat, w stosunku do którego powstał, już nie istnieje. Funkcją postaci niedorzecznej jest uwidocznienie tego faktu. Po niej nie powinno już być żadnej wątpliwości; pod tym względem lekcja egzystencjalizmu jest pouczająca.

Alfred Gawroński



Zygmunt Lichniak

Niedokończone porachunki z wojną

Motto pierwszej książki Janusza Rychlewskiego zapożyczono z powieści Selmy Lagerlöf pt. „Gösta Berling” określa ogólny charakter opowiadań zebranych w debiutanckim zbiorze. Pisarka szwedzka w cytowanym przez Rychlewskiego fragmencie opowiada o młodzieńcu, wracającym z wojny, który „zbyt wiele widział zła i okrucieństw wśród ludzi, tak iż utracił zdolność dostrzegania dobra”.

Wszystkie opowiadania tomu są wypowiedziami człowieka, który, chociaż wiele widział zła i okrucieństw wśród ludzi, jednak nie utracił zdolności dostrzegania dobra. Ta przewidia na chyba nuta polemiczna książki podkreśla ogólną jej myśl, ukonkretnia intencje, z jaką Rychlewski podjął próbę porachunku z wojną: Jest afirmacją siły życia nad siłami zniszczenia.

„Człowiek z gutaperki” to człowiek, który wychodzi zwycięsko z prób potwornej wojny lat minionych. Jego tężyzna, za radność, wola przetrwania nie szczęście i życia w szczęściu opisane zostały przez młodego pirza w sposób wyrazisty i konkretny.

Nie zostały jednak w należyty, to znaczy: wystarczający sposób uargumentowane. Jeśli przyjrzymy się najbardziej typowej i najbliższej sercu autor-skemu postaci, która nadała tytuł całemu tomowi, zauważymy, że postać ta jak wszystkie nieomal postaci Rychlewskiego — działa jako mechanizm tylko biologicznych sił. Nie możemy poznać żadnych bodźców psychicznych, żadnych sprężyn społecznych, czy politycznych wyjaśniających nam postępowanie bohatera. Jedynym wyjaśnieniem może stać się biologiczna pasja bycia, biologiczna chęć przetrwania. Oczywiście, to nie wystarcza. Autora nie usprawiedliwia z karygodnego błędu takich uproszczeń nawet najszlachetniejsza ambicja obiektywizacji. Jego porachunki z wojną są niedokończone. Autor przerwał je w najmniej odpowiednim miejscu. Ten błąd koncepcyjny, który można nazwać błędem przemilczania przesłanek lub obawą przed konsekwencjami świadomego przeżywania rzeczywistości czy po prostu indyferentyzmem światopoglądowym, ciąży nad całością zbioru.

Cięży także nad jego kształtem artystycznym. Rychlewski potrafił swoje obserwacje wyrazić słowem plastycznym i żywym. Nawet chwilami posuwał się do żywiołowości i plastyczności do niezbyt artystycznie funkcjonującej bo zbyt prymitywnej onomatopei. Jednak całość relacji

1) Janusz Rychlewski: „Człowiek z gutaperki”, Gebethner i Wolff, Warszawa 1949, str. 280.

przedstawia się wyraziście i przekonująco do tego tylko momentu, do którego autor porzasta na opisie zewnętrznych, behawiorystycznych. Z chwilą, gdy autor usiłuje ukazać czytelnikowi załamanie się jakiegoś obrazu w psychice któregoś z bohaterów lub w umyśle narratora, metaforyczne zwroty pęcznią w banki frazesów, które muszą prysnąć przy najbliższym nawet dotknięciu najpowszechniejszej nawet analizy krytycznej.

Oto przykładowy fragment:

„Od czasu do czasu na jakąś znajomą rzekomą cechę padcho dziłem bliżej i podchwytliwie przyglądając się pielgrzymowi, zwiędziony podobieństwem, zastęgałem w tej pozycji: Po chwili rozmaię długiej, z reguły zmniejszonej odśrodkowym impulsem z dość dużym wysiłkiem przedzierałem się znów na tył owych dwustu metrów, robiąc wrażenie ryby, która pykając płetwami na niższej płaszczyźnie wody, chce złapać więcej żywego ciodajnego tlenu. Było go mało” (str. 24).

Uważny czytelnik dostrzeże, że było tu mało nie tlenu ale siły, która pozwala organizować poprawnie jednostki syntaktyczne, po prostu: jasnej świadomości pisarskiej. Wynikły z tego braku nie tylko błędy koncepcyjne, ale — jak widać z przykładu — przykre błędy artystyczne, żeby nie powiedzieć... składniowe. Dla wysnucia dalszych wniosków podajmy jeszcze kilka przykładowych zdań.

„Bałem się tego, żeby i moje wyszukane w pielgrzymkach życia doznania, te jedyne, najgłębszą skibą orzące mózg i zmysł uczucia, żeby i one nie zawisły w stryczkowej próżni przedśmiertnego niewyjaśnienia.

Wszystko stało się nieważne. Puchła jeno pożądlivość zobaczenia. Zobaczenia co tam jeszcze jest.

Widziałem siebie jak odganiam w wątlymi dłońmi draperie dekoracji, chrapami charta wchłaniałem istotę rzeczy” (str. 25).

Zagubienie sensu relacji w trudnej ekwilibryście metafory przypomina młodopolszczyzniane wygibasystylizacje. Nie o to jednak chodzi. Rychlewski ze swoją „puchnącą pożądlivością zobaczenia”, czy „chrapami charta” wikła się w „stryczkowej próżni”, nie potrafi już nie tylko wyjaśniać, ale czasami nawet opisywać rzeczywistości. Podciaga go wielość obserwacji, mnóstwo spostrzeżeń błaga o sformułowanie, a pisarz — bezradny wobec ich mnogości — pisze, pisze i wypisać się nie może. Nie ma w nim bowiem koniecznego zmysłu organizującego tworzywo, nie ma w nim umiejętności hierarchizowania (dokończenie na str. 9-tej)

T Y D Z I E Ń

Radio

Audycje dr Żabińskiego

Zdarzyło się pewnego dnia, że towarzysząc synowi słuchałem audycji dla dzieci, której autorem był dr Żabiński. Nie tylko opracował on tę pogadankę, ale ją również wygłosił. Podkreślał to słowo żeby uniknąć nieporozumień, zwrócić uwagę na jego znaczenie — aby uniknąć fałszywego wrażenia, że, być może, audycja była (w tym popularnym sensie) „odczytana“.

Abstrahuje tutaj od treści — dyskusja merytoryczna z doskonałym specjalistą o rzeczach mi nieznanach, zagadnieniach których tylko ślad, dalekie echo, pozostaje w pamięci z lekcji szkolnych dających owe minimum wiadomości o „bazanach i innych kurowatych“ — dyskusja taka byłaby pozbawiona sensu. Chciałem tu tylko zwrócić uwagę na pewną cechę tej audycji, być może uboczną — choć wydaje mi się ona istotna — na walor słowa w interpretacji Doktora i atmosferę jego audycji.

Byłem świadkiem doskonałego nawiązania kontaktu ze słuchaczem. Wydaje mi się, że istotnym czynnikiem który to sprawił jest — obok swoistej, pełnej wdzięku i bezpośredniości, prostoty pogadanki — sam sposób jej wygłoszenia. Doktor Żabiński nie czytał, nie przemawiał, ale mówił — bardzo naturalnie i prosto. Słyszany od czasu do czasu oddech — fakt zwykle uważany za błąd — podkreślał tylko naturalność. Stworzona została specyficzna, intymna jakty, atmosfera w kręgu której autor i słuchacz stali się sobie bliscy, wytworzył się między nimi — nie widzącymi się nawzajem — osobisty kontakt.

Wytworzenie tego kontaktu jest mikrofonowym zwycięstwem mówiącego, sukcesem którym nie wielu może się poszczycić.

Sądzę, że najistotniejszą cechą audycji radiowej (w odróżnieniu od kina czy teatru) jest jej kameeralność, fakt że wprawdzie mówiący do mikrofonu mówi do „milionów“, ale są to tylko „miliony potencjalne“, pozostają one w sferze teorii, a realnym odbiorcą, tym z którym istotnie należy się liczyć, jest siedzący przy odległym głośniku indywidualny słuchacz, jednostka. Ponadto istnieje tu również wpływ otoczenia — fakt, że audycji radiowych słucha się w przeważającej większości wypadków w czterech ścianach własnego pokoju w pewien sposób determinuje nasz stosunek do nich. Głos dochodzący z głośnika, człowiek który mówi, jest — a przynajmniej powinien być — jakgdyby naszym gościem w naszym domu.

I otóż wydaje mi się, że jednym z najpoważniejszych błędów Polskiego Radia jest sztywność audycji słownych, brak zbliżenia do słuchacza, nawiązania tego bezpośredniego kontaktu, jakgdyby obawa naturalności — mówiąc obrazowo brak w studio wygodnego klubowego fotela, stolika z kwiatami, przyćmionej lampy i szklanki wody i może nawet, obecności kogoś kto byłby w studio podczas wygłaszania pogadanki i mógłby zastąpić mówiącemu słuchacza, z którym stara się nawiązać kontakt — brak tych warunków przez które stworzona atmosfera wywierałaby wpływ na prelegenta i promieniowała w audycji. Z drugiej zaś strony brak dbałości o stworzenie wyraźnej sylwetki,

osobowości prelegenta, zachowanie i podkreślenie jego cech indywidualnych.

Słowo które słyszę z głośnika często przypomina mi słowo w filmach dubbingowanych — martwe, bez perspektywy, izolowane od tych wszystkich dźwięków towarzyszących, które stanowią o plastycie dźwiękowej, które stwarzają obraz dźwiękowy. Wydaje mi się, że nie należy obawiać się bezpośrednio zwrotu (czy w czterech ścianach pokoju nie brzmi obco zapowiedź: „godzina siedemnasta pięćdziesiąt“ zamiast „za dziesięć szósta“?), że gdy autor czytający własny tekst pomylił się, chrząknął czy nawet kichnął to nie „kładzie“ całej audycji — wręcz przeciwnie staje się żywym człowiekiem.

Nieznaną jest zapowiedź „mówi autor“. W większości wypadków natomiast stereotypowy zwrot brzmi „czyta autor“, po którym następuje istotnie odczytanie, suche, bezbarwne martwe. Wydaje mi się, że podstawą, zwłaszcza w stosunku do prelegentów z poza radia, powinna być zasada, że przede wszystkim audycja musi być naturalna, że nie muszą oni obawiać się „błędów formalnych“, potknięć, strach przed którymi powoduje skupienie uwagi nie na treści, ale na poprawnym odczytaniu tekstu, że na koniec napisany tekst powinien być dla nich tylko podstawowym materiałem od którego drobne odchylenia są dopuszczalne, przygotowanym tak, by styl jego był możliwie najbardziej zbliżony do ich sposobu mówienia, że wreszcie mając tekst przed oczami powinni nie czytać, lecz mówić, zachowując naturalne akcenty, pauzy, nie bojąc się chwili zastanowienia i zawieszenia głosu. Pomyślmy również o tym, że słuchacz nie zna tekstu, nie przetrwał go poprzednio (i nie może do niego jak w książce dowolnie powrócić) i niejednokrotnie taka naturalna pauza — co powinien wyczuć prelegent — jest mu nieodzownie potrzebna dla zrozumienia zdania.

Sądzę, że dopuszczenie do tak zrozumianej swobody w interpretacji tekstu oraz uzupełnienie wydobywającego się z aparatu radiowego głosu przez minimum dźwięków towarzyszących, które normalnie świadczą o czyjejs obecności stanie się „ilustracją dźwiękową“, która uplastyczni postać prelegenta, pozwoli na stworzenie pełnej wyrazu sylwetki. Nie będzie to już izolowany, zawieszony gdzieś w przestrzeni głos, ale w psychice słuchacza wyraźnie zarysuje się osobowość prelegenta, istnienie za mikrofonem jego żywej, zindywidualizowanej postaci.

Audycja doktora Żabińskiego uderzyła ponadto pletzmem dla słowa — cechą rzadko spotykaną, której brak można spotkać na każdym niemal kroku. Każde wypowiedziane przez niego słowo miało swoją wagę i znaczenie — umiał on wydatnić i wykorzystać jego plastycę. Tu chciałbym tylko zwrócić uwagę na często spotykaną u speakerów skłonność do maniery przejawiającej się w dbałości (przesadnej i sprzecznej z fonetyką) w akcentowaniu „a“ i „e“ itp. Walor słowa u Doktora, problem stylu radiowego w słowie pisanim, (radiofoniczność) to temat, który wymaga osobnego omówienia.

LESZCZ

Stanisław Podlewski

RUCH

Nigdy dotąd nasz ruch wydawniczy nie był tak intensywny, nigdy dotąd w historii książki polskiej nie notowano tak wielkich nakładów i nigdy książka nie miała takiego powodzenia wśród szerokich mas, jak w ostatnim roku.

Myszę, że wielu naszych Czytelników zainteresuje jakie książki otrzymamy w tym roku.

Ostatnio prasa polska podała wiele ciekawych wiadomości z tegorocznych planów wydawniczych naszych największych spółdzielni i instytucji wydawniczych, które zebrał i chcemy przedstawić naszym Czytelnikom.

Szym Czytelnikom.

Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik“ przodować będzie nadal w wydawaniu współczesnych pisarzy polskich, a więc: Andrzejewskiego, Bieńkowskiego, Brezy, Broszkiewicz, Brzechwy, Borejszy, Dygata, Dąbrowskiej, Dzikowskiego, Gołubiewa, Kołta, Krzywickiej, Lecea, Przybosia, Pruszyńskiego, Promieńskiego, Wata (nowa powieść: „Ucieczka Lota“), Ważyka, Tuwima, Żukrowskiego i innych.

Kontynuowane będą wydania zbiorowe dzieł Tomasza Jeża, Józefa

Ignacego Kraszewskiego, zapewne w tym roku doczekamy się dokończenia zbiorowego wydania dzieł Stefana Żeromskiego.

Wyjdą nowe wydania pism Wilkońskiego, Rodocia, Fredry i Tetmajera („Z wielkiego dworu“).

Bogato i ciekawie zapowiada się dział literatury obcej, a zwłaszcza literatury rosyjskiej i radzieckiej. Lwa Tołstoja „Wojna i pokój“, Turgeniewa „Notatki myślowe“, pisma wybrane Gogola, Czechowa, Leskowa, Katajewa, Gołubowa, Gorkiego, Gładkowa, Paustowskiego,

BLUŹNIERCZA

(O „Mazepie“)

wstępie tragedią np. Fedry czującej (chyba od urodzenia) zbliżającą się śmierć. Amelia martwi się tym, że Zbigniew jej się podoba. Ale... popatrz na pierwsze spotkanie jej z Mazepą. Rozbawiony paź królewski oblega ją potokiem słów zalotnych, przyznaj (Twoja to zresztą zasługa), jak rzadko

dowcipnych. Amelia... czy nas wzrok nie myli? — tak jest, uśmiecha się! Ja biję brawo — Ty się krzywisz z niesmakiem. Wybacz nam. W roku 1950 my mamy rację. Ta uśmiechnięta Amelia zesza ze sztychu i stała się żywym człowiekiem. Chcesz znać nazwisko wykonawczyni? Zofia Rysiów-

„Mazepa“ po 15-tu

Teatr Rozmaitości uczcił jubileusz śmierci Juliusza Słowackiego — premerą „Mazepy“.

O wartości tej tragedii sądy badaczy literatury były, z małymi odchyleniami — zgodne. Niechętny Słowackiemu hr. St. Tarnowski pisze: „Jest „Mazepa“ dramatem źle ułożonym, pełnym motywów powierchownych, pełnym scen przesadnie patetycznych, przez to dobrych do melodramatu, a nie do tragedii“. Musi jednak przyznać dalej: „Mazepa“ jest złym dramatem — pomimo tego jest piękny, a czasem prześliczny“. Dodajmy ze swej strony, że takie zdanie badacza literatury jest co najmniej dziwne. Zły dramat „jest piękny, a czasem prześliczny“. Więc kiedy jest piękny czy prześliczny?

J. Tretiak, do którego Słowacki nie miał szczęścia w monografii o pocie wymienił „Mazepę“ zaledwie z tytułu, ale ani słówkiem o jego wartości; to sugeruje nam sąd negatywny.

A co mówią o „Mazepie“ wielbiciele Słowackiego?

Juliusz Kleiner wskazuje na nieoryginalność bohaterów „Mazepy“ Słowackiego, na ich rodowód w bohaterach Byrona, Balzaca i Wiktora Hugo. Takie i podobne opinie nie pomagały „Mazepie“, a powodowały, że sztuka grywana bywała nie za często — w Warszawie, np. 15-cie lat temu. Czy działo się tak dlatego, że opinie były mało pochlebne? Nie. „Mazepa“ jest tragedią trudną. Nie trudną dla widza, ale dla reżysera, scenografa a przede wszystkim aktorów.

Niezwykły konflikt wzajemny między pięcioma głównymi, o odmiennych psychikach i temperamentach, żywymi postaciami — to droga bardzo śliska. Pełną wdzięku i miłej prostoty Amelię kocha, poza mężem — pasterb, paź królewski, Mazepa, i wreszcie sam król. Wszyscy

kochają Amelię i wszyscy nienawidzą się wzajemnie. Amelia natomiast kocha tylko miłością czystą Zbigniewa. Co z tego wynika? Tragedia niezwykła. Amelia, znosząca katusze niewinnie, pada wreszcie pod brzemieniem powikłań, jako samobójczyni, na trumnę swego ukochanego — samobójcy. Trzecim samobójcą jest kat wszystkich, dumny, zawistny i okrutny szlachciora — wojewoda.

Aby z takiego labiryntu nieprawdopodobnych wątków scen, sytuacji, i powikłań wyprowadzić tragedię o zwartej kompozycji, o żywej, nieprzerwanej, pełnej napięcia akcji — potrzeba kunsztu, maestrii Juliusza Słowackiego. Aby z kolei wystawić tę trudną sztukę, zgodnie z intencją poety — trzeba wnikliwej reżyserii, dobrych sił aktorskich i dużych możliwości technicznych.

Choć „Mazepa“ — nie spotkała się z entuzjazmem badaczy literatury — spotyka się z entuzjazmem widzów; — jest w nim coś, co nas, zawsze wzrusza i zachwyca.

Cóż to może być? Czy wskrzeszenie wycinka barwnej epoki? Czy krytyka nieludzkości, surowości i zawziętości szlachcica polskiego z XVII wieku? Czy obłudna religijność, zgubny erotyzm, nieszczęśliwego dla Polski króla, którego historia starała się wybielić? Czy bohaterstwo, piękno i poświęcenie w miłości Ameli, Zbigniewa i Mazepy? Niewątpliwie. Ale najważniejszy jest tu artyzm, z jakim zjawiska te zostały przedstawione. Przecież nikt dzisiaj się tak nie kocha, jak kochał poeta — romantyk, ale czynił to tak kunsztownie, że sytuacje niezwykle, trącające o sentymentalność, czy patos, stają się proste, prawdziwe i bliskie. Służy temu cały arsenał środków poetyckiego wyrazu. Zachwyca nas właśnie poezja tej tragedii. W wariacjach potoku akcji, obok elementów drama-

KULTURALNY

Film

WYDAWNICZY w r. 1950

„Pustelnia parmeńska”

Tynianowa i Beka.

W dziale autorów obcych znajdziemy utwory A. France, E. Zola, Bronte, Fieldinga, Defoe, Dickensa. Dostaniemy liczne książki autorów czeskich z Haskiem, Capkiem, Zapotockim na czele. Wydawnictwo zapowiada nowe powieści Amado, Aragona („Komuniści”), Manna („Doktor Faust”), trzy powieści Anny Seghers: „Siódmy krzyż”, „Tranzyt”, „Ocalenie”.

W dziale poezji otrzymamy tomiki Petöfiiego i Eluarda.

Ciekawie przedstawia się dział historyczny. Wyjdą dzieła Sergiejewa

„Historia Grecji”, Potiomkina „Historia Rzymu”, Ksenofonta „Anabasis”, Lempickiego „Renesans Polski”.

Świetny dział książek i podręczników naukowych wzbogaci nowe lub wznowione dzieła, a więc Rogalskiego „Anatomia”, Tomaszewicza „Chirurgiczna patologia”, Gruszeckiego „Psychiatria kliniczna”, Pogorzelskiego „Analiza matematyczna”, Szafera „Geografia roślin”, Pieniżka „Biologia”, Dembowskiej „Psychologia zwierząt”, Otto „Geometria wykresowa”, Hubera „Mechanika” i Rybickiej „Mikrobiologia”.

W końcu wspomnieć należy stużłotową bibliotekę „Czytelnika”, dająca co miesiąc pełnowartościową książkę, całość w jednym tomie.

„Czytelnik” będzie dalej realizował narodowe wydanie dzieł Adama Mickiewicza, serie II—IV.

Podobnie jak i w roku ubiegłym Spółdzielnia Wydawnicza „Książka i Wiedza” wysunęła na czoło swojego planu wydawnictwa polityczne i społeczne. Posunie się znacznie naprzód wydanie zbiorowe dzieł

(dokończenie na str. 10-tej)

Pustelnia Parmeńska należy do filmów trudnych do oceny. Zasadnicza trudność wydaje się leżeć w tym, że inaczej na ten film patrzą ci, którzy oczekują wiernej, dosłownej, adekwatnej transpozycji powieści, inaczej zaś ci dla których podstawą oceny jest sam film.

Stendhaliści nie mogą realizatorom filmu przebaczyć zmian sytuacji, uproszczeń psychologicznych, do wolności w interpretacji powieściowych bohaterów i zmiany tego co ktoś określił klimatem powieści. Ostatni zarzut wydaje się najważniejszy. Znanie jest określenie nazywające powieść „kieszonkowym teatrem” zawierającym nie tylko fabułę i aktorów, ale także kostiumy, dekoracje, wszystkie akcesoria przedstawienia i — autora. Otóż w sfilmowanej „Pustelni” zmieniona została sceneria i pominięta postawa narratora. Sądzę, że to zdecydowało o owej zmianie klimatu. Sytuacje powieści oprawione w pięknie wystylizowane realia epoki, zostały pokazane bardzo na serio i bardzo konkretnie. Zasugerowano widzowi autentyczność i historyczność pokazanego świata, a ponieważ zabrakło konkretów w tekście literackim, poszukano ich poza tekstem.

Pozostaje ważne dla oceny filmu zagadnienie czy różnice tekstu literackiego i filmu dotyczą spraw naskórkowych, powierzchni pokazanego życia, czy też sięgają głębiej wypaczając zasadniczą koncepcję „Pustelni”. Wydaje mi się, że mimo dokonanych skrótów i uproszczeń, film wydobywa te elementy powieści, te konflikty i problemy, które decydują o trwałości wartości „tekstu” Stendhala. Zasadniczą zmianą jest dopuszczalne w transpozycji zastosowanie innego punktu widzenia i innej metody.

Nawet ci, którzy po obejrzeniu „Pustelni Parmeńskiej” wyrażają bardzo ostre zastrzeżenia przeciwko dowolnościom scenarzysty przyznają, że film wrzeszcza, że porywa, że wrzeszcze zasługuje na miano dzieła sztuki. Epizod śmierci Ferrante Palla w jaskrawy sposób sprzeczny z tekstem powieści jest dla każdego wstrząsający. Wielka popularność filmu, wrzeszcze, oczywiście faktu, że przy wysokich walorach artystycznych Pustelnia Christiana Jaquet’a jest komunikatywna, wyraźnie zaprzecza pełnym niechęci opiniom „Stendhaliistów”.

Dla krytyki filmowej zasadnicze jest danie odpowiedzi na pytanie — czy film jest dobry, — problem stosunku do pierwowzoru jest już problemem wtórnym. Uprawnienia realizatorów są większe aniżeli obowiązek ilustracji. Tekst literacki jest, a w każdym razie może być jedynie materiałem i chociaż na pewno można stworzyć film oparty na powieści Stendhala, który w dokonywanych skrótach, w transpozycji będzie zachowywał proporcje epizodów i sytuacji, tak aby obraz świata zawarty w filmie pokrywał się z tym, który wytwarza lektura książki, jednak sądzę, że Jaque nie „zdradził” Stendhala zmieniając owe proporcje wykorzystując jedynie część zawartości powieści, niemal wyłącznie drugi jej tom. Razem z Fabrycem wracamy od początku filmu do Parmy wprowadzeni zostajemy w centrum

akcji i dzieje przedakcyjne, poznamy jedynie z nikłych aluzji. Stąd atmosfera dworu Parmeńskiego jest wyizolowana, wyrwana z kontekstu historycznego, konflikty społeczne są pokazane abstrakcyjnie a-historycznie, mają posmak symboliczny, ale nie pokazują jak w powieści konkretnego układu sił w konkretnej epoce. Miłość Fabrycego i Klelii, konflikt Giny, Mosci i Fabrycego, wysuwają się w filmie na pierwszy plan. Ta warstwa powieści została wyrażona w sposób zgodny z jej tekstem. Analizę natomiast stosunków polityczno - społecznych we Włoszech zastąpił Jaque drobiazgowym, bardzo subtelnym, obrazem dworu i usymbolizowaną walką z tyranią. Rewolucja pokazana w filmie niezgodna z realiami powieści i historycznie nieumotywowana staje się aktem nienawiści i buntu, ogólnikowym wyrazem walki z tyranją, z krzywdą i przemocą. Sceny buntu przeciwko uciskowi bardzo sugestywne, artystycznie przemawiające, mają na pewno dużą wymowę uczuciową, nie mniej jednak są wyrazem spięcenia problematyki książki.

Niezwykle staranna forma filmu, piękne plenery, oświetlenie, pietyzm wobec stylu epoki, płynność i jasność montażu są ważnymi czynnikami w ocenie „Pustelni”. Pisano, że wypielęgnowana forma „Pustelni” przypomina gładkość filmów Hollywoodu. Ta opinia ma charakter wybitnie ujemny i krzywdzący film Jaque’a. Pełna rutyny płynność filmów amerykańskich nie robi wrażenia troski o poziom artystyczny, jest po prostu wyrazem technicznego opanowania rzemiosła a często pogoni za efektem czysto formalnym, zaskoczeniem widza ładnością pokazywanego obrazu, efektami przesłaniającymi brak treści.

Leszcza.

Niedokończone porachunki z wojną

(dokończenie na str. 7-mej)

wydarzeń. Rychlewski nie jest świadomym uczestnikiem opisywanych spraw, lecz namiętnym ich opisywaczem, nie jest dziejopisem, lecz zachłannym na mnogość sytuacji kronikarzem.

Podziwiając u Rychlewskiego wielką zdolność stwarzania ciekawych pomysłów fabularnych, wielką umiejętność odkrywania nowych źródeł tematycznych, żałują, zapewne wszyscy, że w „Człowieku z gutaperki” nie ma człowieka z mózgiem i duszą, choć jest człowiek niemal z krwi i kości.

Ten błąd jest jednak do pokonania. Na podstawie pierwszej książki wolno już przypuszczać, że w następnych autor potrafi zdobyć się na korektę. Wierzymy, że tak będzie, bo zawsze warto wierzyć w rozwój prawdziwych talentów literackich, którym krytyk tym ostrzej i tym surowiej się przygląda im więcej po nich oczekuje.

Zygmunt Lichniak

ROZMOWA

Słowackiego

na. Za ten jeden moment warta nagrody. Nie mam czego ukrywać przed Tobą, Juliuszu, iż nie we wszystkich scenach było podobnie, żałuję, że ten żywy, krwisty człowiek zmienił mi się czasem w portret Twojej, waszej, przebrzmiałej Amelii.

Przyjrzyj się teraz Jerzemu

Leszczyńskiemu. To ma być król? Gdzież ten majestat? Nie gniewaj się Mistrzu Juliuszu! — albo majestat, albo rywal Mazepy, jego przejmujące metody we flirtcie. U was król to zaraz musiała być i mina arcyseriozna, a pompa, i Bóg wie co jeszcze — a my swoją historię widzimy tak: na tronie

powaga, majestat; w życiu codziennym — człowiek. Nasz Jan Kazimierz pragnie się po prostu zabawić. Po ludzku. Bez korony. Chce żyć. (Podobnie zresztą Twoja Maria Stuart postępuje). Dopiero kiedy wojewoda nastąpi mu na odcisk (królewski), przypomina sobie o swym (także zresztą dla nas wątpliwym) dostojenstwie.

Zaniepokoi Cię również postać wojewody. Taki arcydumny, arcyambitny magnat a wcale nie szasta się po scenie, chodzi po niej spokojnie, mówi raczej cicho... tak jest, ale... czy Władysław Bracki utracił przez to coś z Twoich względem tej postaci zamierzeń? Ani jednego tonu. Pycha tym jaszkawiej wyszła na jaw — tym bardziej była dla nas przekonująca.

Jesteśmy, jak widzę, zgodni w ocenie Mazepy. Igor Śmiałowski potrafił zadowolić nas obu. Dzieje się tak dlatego, że właśnie przy tworzeniu tej postaci najmniej pamiętałeś o Edypach, Antymonach i innych starogreckich historiach. Kozacki duch nie dał się zmieścić w żadnym ze znanych dotychczas wzorów — trzeba mu było nadać kształt oryginalny, jego własny.

W ocenie Zbigniewa znowu dalecy będziemy od zgody. Tobie się on podoba — mnie nie. No, ale... co i Ty musiałeś tu znaleźć dla pokrzepienia ducha.

Nie zapomnijmy o Chrzęście. Kładziesz mu w usta popis nad po pisy. Widzisz... Tadeusz Surowa, aktor bardzo zdolny, w wielu rolach wręcz doskonały — w tym epizodzie coś poszkapał. Opowiadanie bliższe tylko Twoim talentem, w wykonaniu rwie się i to nie rytmem wiersza tylko arytmia niewypracowanych przerw oddechowych.

Najjaśniejszy Pan zapowiedział swą straszliwą zemstę, wojewoda ucieka przed nią najkrótszą drogą, kurtyna opada, na widowni robi się podejrzany ruch.

Myślisz, że to jakaś rewolucja — nie. To tylko współczesny kulturalny wieścig do... szatni — Jedyne części wiernych czcicieli Melpomeny bije brawo. Myślisz, że wykonawcom? Owszem, ale przede wszystkim Tobie, za genialny, najcudniejszą muzyką brzmiący wiersz, za kryształową czystość najmilszego Tobie i nam języka polskiego.

Do widzenia Juliuszu. Zobaczymy się pewnie na następnych Twoich dramatach.

Jotha

(rb).

latach w Warszawie

tycznych migają raz po raz klejnoty poezji lirycznej, które nie tylko nie są przysłownym „kwiatkiem do kożucha”, nie rozkładają kompozycji tragedii, ale wzbogacają naszą skalę wzruszeń estetycznych.

„Mazepa” w Rozmaitościach nie zagubił tkniętej weń przez Słowackiego poezji. Jego reżyser Dobiesław Damiński potrafił szczęśliwie ustrzec go zarówno od patetyzmu, jak i sentymentalizmu, o co on potraça, z drugiej zaś strony — nie jest przestetyzowany. Z każdej sceny przemawia inwencja i solidna robota reżyserska. Z najtrudniejszych ról najlepiej wywiązali się: Władysław Bracki, Zofia Rysiówna i Igor Śmiałowski. Wojewodę gra Bracki z pasją i dlatego jest on prawdziwy. Na scenie widzimy nie postać papierkową, ale żywy typ dumnego, okrutnego pana życia i śmierci szlachcica, nieprzejednanego stróża zgubnej „złotej wolności”. Nawet najstraszliwsze ciosy nie zdołały złamać jego dumy. Jest to właściwsza interpretacja, niż akcentowanie boleści ojcowskiej, co osłabiałoby tragizm Amelii i Zbigniewa. Ma to również głęboki sens społeczny.

Zofia Rysiówna w roli Amelii błysnęła niepospolitym talentem aktorskim. Finezja, wdzięk w wydobywaniu z roli najszczerzych tonów lirycznych jak i tragicznych spraw, że ulegamy złudzeniu prawdziwości tej, czy innej sceny. To jest chyba największa zasługa aktora. Wydobył z „Mazepy” poezji, która nas urzeka, zawdzięczamy głównie właśnie Rysiównie.

Igor Śmiałowski sprawił tym, którzy go widzieli w roli Amelii, dosyć „drewnianego” i bez głębszego wyrazu, miłe rozczerwanie. Jego Mazepa, pogromca serc niewieścich, podbił serca nie tylko niewiast ale i mężczyzn, dowiódł, że odtwarzanie ról głębszych leży w jego możliwościach. Zachwyca jego

wdzięk i temperament aktorski. Miłość prawdziwa do Amelii wyzwala w nim szlachetność, zdołną do największych poświęceń. I tak z lekkością, uwodziciela niewiast, złotej laleczki, rodzi się bohater tragedii. Trudnie miał Śmiałowski zadanie, ale można powiedzieć bez zastrzeżeń — sprostał mu. Jego Mazepa stał się rzeczywiście owym katharsis tragedii — oczyszczeniem, jakie następuje zwykle po burzy.

Adam Hanuszkiewicz miał trudną i niebezpieczną rolę romantycznego kochanka, niebezpieczną, gdyż łatwo można było popaść w patos czy sentymentalizm. Prawdopodobna chęć ominięcia tych niebezpieczeństw popchnęła go w inne — dał Zbigniewa sztywnego i nieprzekonywującego. W przeciwnieństwie do Rysiówny w jego tragedię nie możemy uwierzyć, nie wrzeszcza nas. Najlepiej wypadła mu scena w więzieniu.

Jerzy Leszczyński w roli króla był doskonały, ale tylko w scenach modlitwy przed snem i wyznaniu miłości Amelii. Trudno jednak zgodzić się na taką interpretację króla. Razi jego bezceremonialność, brak jakichkolwiek pozorów majestatu królewskiego. Za to wiersz, trzeba przyznać, mówił mistrz doskonale. W krótszych rolach dobrze zagrali: Tadeusz Surowa, bardzo komicznie — Chrzęstkę, Irena Renard — kasztelanową, a Józef Nlaberczak księdza. Jeśli już mowa o Chrzęście, trzeba powiedzieć, że jest to bardzo trafna satyra Słowackiego na szlachtę polską XVII wieku.

Wacław Izdebski niezły, nie przypomina jednak autentycznego Paska zawałdrogę i pieniacza.

Dekoracje i kostiumy Adama Jasielskiego w charakterze sztuki, stanowią piękną oprawę tragedii. Mimo tych i innych, mniej ważnych usterek, przedstawienie robi duże wrażenie.

Czytelnik uważa, że...

FRANCUZI O POLSCE 150 LAT TEMU

W ramach cyklu „Polska w obcych encyklopediach” p. P. G. omawiał niedawno w „Tygodniku Powszechnym” ostatnie wydanie „Petit Larousse”. Pisał tam, iż jest on „jedną z najbardziej znanych i popularnych jednotomowych encyklopedii świata” i stąd „nieobojętną zgoła rzeczą, jak w tej encyklopedii figurujemy”.

Wpadł mi niedawno w ręce „Nouveau Dictionnaire Historique” wydany w Lionie w r. 1804 (rok wydawnictwa XII), opracowany przez L. M. Chadeau i F. A. Delaudie, a który, jak można przypuszczać, spełniał

w owym czasie rolę zbliżoną do „Larousse”, lecz informując jedynie w dziedzinie historii. O dużym zasięgu „Nouveau Dictionnaire Historique” świadczy spory spis prenumeratorów zamieszczony na wstępie. Dowiadujemy się stąd, że podobnie, jak dzisiejszy „Larousse”, który „dociera wszędzie, gdzie dociera kultura francuska”, i „Dictionnaire” miał swoich stałych odbiorców w Madrycie i Lizbonie, Petersburgu i Wiedniu, Wrocławiu i Frankfurcie, Mediolanie, Milano, Parmie, Lucernie, Fryburgu, Duwrze itd. itd., nie mówiąc o licznych miastach Francji.

Z przedstawienia tutaj historii Polski możemy wysnuć wnioski o tym, jak widzieli ją wówczas obco-

krajowcy, ale i także o ówczesnym stanie wiedzy w tej dziedzinie w krajach Europy zachodniej, gdyż, jak to w podtytule zaznaczono w „Dictionnaire” „...przedstawia się z bezstronnością co pisarze najczęściej wiarygodni sądzili o przymiotach zwyczajach i dziełach ludzi sławnych...”

W części „Państwa nowoczesnej Europy” znajdujemy rozdział poświęcony Polsce. Początek jest najbardziej interesujący, toteż przytaczam go w całości.

„Polska, którą nazywano w starożytności Scytlą Europy, była zawojowana przez Sarmatów, następnie opanowana przez Słowian, naród po-

chodzący z kraju, noszącego dziś nazwę Sławonii.”

Przed VI wiekiem naszej ery Polacy jeszcze jako Sarmaci nie mieli królów. Żyli wolno w górach i lasach, mieszkając w domach, lecz w wozach, zawsze będąc pod panowaniem coraz to innych najeźdźców.

Lecz Polacy (przyjęli tę nazwę około r. 550) nie zatrzymali całej spuścizny swych ojców. Każdy wiek przynosił zatrącenie któreś z prowincji. Wszystko, co posiadali przechodziło w ręce obcych potęg. W roku 550 Lecko albo Lesko, brat księcia Czech podjął się cywilizowania Sarmatów. Wyrzekając się koczowniczego bytu na wozach naciął drzew, wybudował dom i wkrótce według tego wzoru powstały inne chaty. Porzucając koczowniczość naród stał się osiadłym. Gniezno, pierwsze miasto Polski zajęło miejsce lasu. Lesko rozwinął swoje zdolności jako dowodzący i tak był czynnym, iż został władcą z tytułem księcia.

*) Tak tłumaczy francuskie „L'Esclavonie” słownik W. Janusza; Lwów 1848.

RUCH WYDAWNICZY w r. 1950

(dokończenie ze str. 9-tej)

Lenina i Stalina, zlecone wydawnictwu przez Komitet Centralny PZPR. W tym roku ukaże się co najmniej sześć dalszych tomów dzieł Stalina i osiem dzieł Lenina.

W dziale literatury marksistowskiej wyjdą pierwsze tomy dzieł Marksa, różne dzieła wybrane, listy i pisma twórców komunizmu.

Wydawnictwo planuje oprócz kontynuacji „Biblioteki Socjalizmu Naukowego” i „Biblioteki Klasyków Marksizmu - Leninizmu”, wydanie albumów ilustrowanych do poszczególnych rozdziałów „Krótkiego kursu historii WKP(b)”.

W tym roku dojdzie kilkanaście nowych tomów do zbiorowego wydania dzieł Bolesława Prusa, pod redakcją prof. Z. Szwejkowskiego. Wśród nich 10 tomów słynnych tygodniowych „Kronik”. Znacznie posunie się naprzód wydanie zbiorowe pism Elizy Orzeszkowej, pod redakcją prof. J. Krzyżanowskiego będą ukazywać się dalsze tomy pism wybranych Adolfa Dygasińskiego i St. Witkiewicza. Zostanie zapoczątkowane wydanie dzieł Gabrieli Zapolskiej.

Zapewne będzie ukazywać się dalej zbiorowe wydanie dzieł Andrzeja Struga.

Wydawnictwo projektuje wybory pism klasyków polskich: Potockiego, Krasickiego, Fredry, Asnyka, Berwińskiego.

Współczesna literatura polska reprezentowana będzie przez książki K. Brandysa, Dygata, Kotta i Sandaiera.

Ciekawie przedstawia się dział literatury obcej, a zwłaszcza literatury radzieckiej. Otrzymamy dwutomową współczesną powieść Ilii Erenburga „Burza”, Fiedina „Niezwyczajne lato”, książki Gorkiego, Gładkowa, Gonczarowa, Sołtykowa-Szczedrina, Korotki oraz zupełnie u nas nieznaną dzieła pisarzy na rodów ukraińskiego, białoruskiego, litewskiego.

Dział literatury obcej wzbogacą dalsze dzieła wybitnych pisarzy: Balzaca, dalsze tomy „Komedii Ludzkich”, trzy tomy pism Flauberta z powieścią „Salambo”, opowiadania i powieści Stendhala, Maupassanta, A. France, dalsze tomy Galsworthy'ego („Saga rodu Forsytów”), dalej Zweiga, Nexö, Drdy i Hansa Fallady.

W dziale historycznym znajdziemy następujące książki: Arnolda „Upadek mieszczaństwa”, Piwarskiego „Imperializm przed pierwszą wojną światową”, ukazały się pisma

wybrane Lelewela, Mochnackiego, Jezierskiego, Heltmana, Darasza, S. Konarskiego, Worcella, Dembowskiego, Kamińskiego i Szwarcego.

Z dzieł obcych pisarzy, historyków ukaże się przekład dzieła prof. Tarle „Talleyrand”, Jefimowa „Rok 1948”, Mathiesa „Rewolucja francuska” oraz zbiorowa kilkutomowa praca „Ilustrowana historia Papieństwa”.

Państwowy Instytut Wydawniczy, który miał w roku ubiegłym tak żywe tempo, posiada bogaty i różnorodny plan wydawniczy, przeważają w nim wydawnictwa zbiorowe, cykle i biblioteki.

W tym roku zostanie zakończone pełne wydanie dzieł Henryka Sienkiewicza, a zacznie ukazywać się zbiorowe wydanie dzieł Aleksandra Fredry, w którym prof. St. Pięgo opracuje krytyczne teksty, a które prof. K. Wyka zaopatrzy w komentarze wstępne.

Z największym uznaniem powitają wszyscy świetny pomysł rozpoczęcia cyklu „Biblioteka klasyków obcych i polskich”. Znajdą się w niej jednotomowe obszerne wybory pism Kochanowskiego, Krasickiego, Mickiewicza, Słowackiego, Norwida.

Biblioteka utworów dramatycznych zainicjowana w ubiegłym roku przez tom komedii A. Musseta powiększy się znacznie wydaniem dzieł Szekspira w nowych przekładach Brandstaettera („Hamlet”), Gałczyńskiego, Gogolewskiej, Miłosza, Iwaszkiewicza. Wyjdą tragedie Ajschylosa, komedie Arystofanesa, dramaty Gorkiego, sztuki Ostrowskiego, Suchowo-Kobyłina, Shawa i Brechta.

P. I. W. zainauguruje nowy cykl pt. „Prekursorzy” — Biblioteka Myśli Postępowej. Znajdą się w nim prace i wybory dzieł myślicieli-pisarzy na ogromnej przestrzeni dzieł od Lukrecjusza, poprzez pisarzy renesansowych, Encyklopedystów, Voltaire'a (4 tomy), Diderota (3 tomy), polskich pisarzy reformacyjnych Frycza - Modrzewskiego, Orzechowskiego, dalej Staszica, materialistów niemieckich Feuerbacha, Straussa, Büchnera, rosyjskich myślicieli postępowych i filozofów: Dobrolubowa, Hercena i Czernyszewskiego. Ogółem ma wyjść 35 tomów, z których każdy zawierać będzie wstęp, przypisy i komentarze.

Nowością będzie seria pomnikowych monografii pt. „Mistrzowie” i druga pt. „Mistrzowie dla domu, szkoły i świetlicy”. Znajdą się w niej świetnie ilustrowane z wielu li-

cznymi barwnymi planszami monografii: Wita Stwosza, Michałowskiego, Jana Matejki, Gierymskiego i o najnowszym malarstwie tematowym. Poważnym przedsięwzięciem będzie wydanie „Słownika sztuk plastycznych”, pod redakcją prof. Lorentza, a opracowanego przez Instytut Historii Sztuki U. W. i Państwowy Instytut Sztuki.

Wydawnictwo ma zamiar wypuścić zbiorowe prace oparte na najnowszych zdobyczach i materiałach źródłowych, dając zarysy historii kultury ZSRR, USA, Anglii, Francji, Hiszpanii, krajów bałkańskich i skandynawskich. Wydawnictwo również nosi się z zamiarem wydania historii tych krajów.

Wydawnictwo M.O.N. „Prasa Wojskowa” ma swój plan dostosowany przede wszystkim do potrzeb kulturalnych wojska i młodzieży.

Otrzymamy w tym roku książki z historii wojen, a więc Engelsa „Wojna 1870-71”, Andrejewa „Wojna ludów”, Zamiatina „Od Wisły do Odry”, oraz powieść historyczną „Port Artura” Stiepanowa, Wiry scenariusz „Bitwa Stalingradzka”, Zakrutkina „Kaukaskie zapiski”, Maricza „Zorza polarna” oraz Kazakiewicza „Wiosna na Odrze”.

W zakresie książek specjalnych ukażą się „Chemia na usługach wojska”, „Radiolokacja”, „Telewizja”, „Silniki przeszłości” i „Podróż kosmiczna”. Nie brak w planie wydawniczym książek podręcznych i sportowych.

Współczesna twórczość polska znajdzie swój wyraz w książkach: Lukaszewicz „Płonący wrzesień”, Papuga „Czterech z Albatrosa”, Rychliński „Odkrycie Antarktydy”, Koźniowski „Opowieści o żeglarzu rosyjskim Matiuszkinie”, Żukowski „Od Buchary do Sandau”, dalej książki Broniewskiego i Komorowski o nieustalonych jeszcze tytułach.

„Prasa Wojskowa” będzie dalej wydawać „Bibliotekę Żołnierza”, w której znajdują się specjalne opracowania „Wojny i pokoju” Lwa Tołstoja i „Potop” Henryka Sienkiewicza.

Powiększy się znacznie seria „Dzieje wojskowości polskiej”.

Z tego niepełnego zestawienia widzi my, że tegoroczny plan wydawniczy naszych największych spółdzielni i instytucji wydawniczych przedstawia się bardzo ciekawie i bogato, choć z naszego stanowiska musi budzić zastrzeżenia, brak pozycji uwzględniających potrzeby literatury katolickiej.

Stanisław Podlewski

Wspomnienie o dr Marcinkowskim (dokończenie ze str. 2-giej)

umysłowego. Traktat Karola Libelta „O miłości ojczyzny”, idee mesjanistyczne Augusta Cieszkowskiego, myśli Moraczewskiego, Krotoskiego, Mateckiego, wygłaszane na licznych odczytach, działalność pism miejscowych (jak „Przyjaciel Ludu”, „Mrówka Poznańska”, „Weteran”, „Tygodnik Literacki”, „Tygodnik Rolniczo - Przemysłowy”, „Oreodownik Naukowy”) i emigracyjnych („Rok”, „Demokrata Polski”, „Dziennik Domowy”), które rozchwytywane były i wywierały na opinię społeczeństwa wpływ bardzo znaczny — oto symptomy dojrzenia, krystalizacji ideologicznej Wielkopolski, która tak wspinałym zrywem wykwitła po tym w roku 1848. Nastawiona na konkretną, namacalną, matematycznie wymierną akcję społeczną (wybaczenie ten nowoczesny barbaryzm) doktor Karol Marcinkowski podchwytuje entuzjastycznie tę pracę i wkłada w nią całą swoją osobowość. Doceniając przede wszystkim rolę oświaty zakłada Towarzystwo Pomocy Naukowej wraz z Maciejem Mielżyńskim, Karolem Libeltem, Augustem Cieszkowskim i doktorem Kapuścińskim. Towarzystwo to, popierane przez kler z arcyb. Duninem na czele, obiera sobie za cel wyławianie talentów spośród ludu i kształcenie ich. Ponad dwa miliony marek wynosi ogólna suma udzielonych przez to Towarzystwo, nazwane potem imieniem założyciela (cyfry podaję za ciekawą broszurą Włodzimierza Dzwonkowskiego, wydaną przez „Wiedzę Powszechną” w 1946 r., która nie uczyniła jednak na polskiej społeczności czytającej żadnego wrażenia).

Nie na tym jednak kończy się praca oświatowa Karola Marcinkowskiego. Pojmując rolę druku w rozwoju kultury narodowej, jedynie przeciwstawiającej się z empirycznym sprawdzalnym wynikiem germanizacji, dr Marcinkowski promuje dwu księgarzy, Żupańskiego i Stefańskiego, z których pierwszy zakłada potem w Poznaniu wielką oficynę wydawniczą. Inspiratorem my, że tomistyczna zasada „genus humanum arte et ratione vivit” może służyć za motto do jego życia, może określać ducha jego pracy. Ten czołowiek o personalistycznego przedsięwzięcia jest oczywiście

Książę, ponieważ zmarł bezpotomnie, złożył swą władzę na ręce 12 głównych panów dworu, którzy wywiązali się chwalebnie ze swego obowiązku. Lecz niezgody ich następców skłoniły naród do wybrania swoim księciem Krakusa w r. 700.

Polska nie była jednak szczęśliwa mając jednego władcę. Wielu Polaków zatrzymało wszystkie zwyczaje dawnych Sarmatów jak zabijanie nieudanych dzieci i starców-kałek. Książętom ludzkim po wielkich trudach i upływie długiego czasu udało się wypłenić te straszne obyczaje, bardzo pospolite u dzikich, które sofisci uważają za reprezentatywne dla zachowujących stan czystej natury”.

Dalsze streszczenie dziejów Polski mniej już jest atrakcyjne, natomiast podać warto kilka dat z tablicy chronologicznej władców Polski. Oto książęta polscy: Leszko I od r. 550; Krakus od r. 700; Wanda, królowa od r. 750; 12 wojewodów rządzących; Przemysław od r. 760; bezkrólewie, Leszko II do r. 810. Leszko III — 815, Popiel I — 830, Popiel II; bezkrólewie; Piast od r. 842 zmarł w r. 861; Ziemowit 892; Leszko IV — 913; Ziemomysł — 964; Mieczysław — 999 pierwszy książę chrześcijański.

J. O. P.

cie Marcinkowski. Wszystko to sprawia, że nazywany bywa „tajnym ministrem oświaty”.

Dr Karol Marcinkowski dopatruje się także skutecznej broni przeciw germanizacji w zorganizowaniu drobnomieszczaństwa. Dlatego zakłada Bazar Poznański przy ul. Nowej, niezwalczoną aż do Pierwszej Wojny twierdząc polskość. Prócz znaczenia korzystnej instytucji gospodarczej Bazar ma charakter sui generis lokalnej organizacji patriotycznej, urządzającej koncerty i odczyty, wystawiającej dramaty i goszczącej kilku pisarzy, m. in. Kraszewskiego, Deotymę i Syromkłę.

W 1845 r. doktor Marcinkowski daje znów wyraz swemu samarytańskiemu usposobieniu organizując Towarzystwo ku Wspieraniu Ubogich i Biednych, domagający się od miasta opieki nad biednymi dziećmi, intensywnie zwalczając alkoholizm, którego koszar — jako lekarz — poznał dokładnie. W zanadru chowa pomysły otwarcia Banku Kredytowego, Instytutu Rolniczego i Kas Oszczędnościowych.

Pewnego listopadowego dnia, roku 1846 ulicami Poznania przeciągał czterogodzinny korowód żałobny, w którym brało udział czterdzieści tysięcy mieszkańców miasta, m. in. wielu Niemców. Zwłoki w skromnej trumnie, niesionej przez delegację mieszczan, chłopów i szlachty, złożono w kościele św. Wojciecha. Chowano zmarłego w Parkowie pod Poznaniem, dnia 7 listopada, doktora Jana Karola Marcinkowskiego.

Zygmunt Krasieński tak określa sylwetkę Marcinkowskiego: „Był demokratą w pojęciu Chrystusowym”. Ież w tym stwierdzeniu jest racja! Nie chcemy tu wnikać w osobiste życie religijne Marcinkowskiego, bo nie miałoby to wielkiego znaczenia ani wpływu na ocenę jego osiągnięć życiowych w pracy dla dobra całej społeczności. Ale ważnym stosunku do bliźnich, o wielkiej i żarliwej miłości bliźniego, miłości bliskiej ewangelicznemu ideałowi i o wielkiej osobistej ascezie — to istotnie w każdym przypadku demokracja, i to właśnie „demokrata Chrystusowy”.

Wacław Sadkowski